Nr. 6 (1620) Warszawa, 10 lutego 1912 r. Rok XXXII.

PRAWDA

Tygodnik polityczny, społeczny i literacki.

Redakcja i Administracja: WŁODZIMIERSKA 5. Telefon 73-80

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Rozprzężenie.

Naród polski nie zdradzał nigdy skłonności do zorganizowanych działań zbiorowych, przekładając nad nie chodzenie luzem i słomiany ogień uniesień, *notabene* często w nieodpowiednich chwilach zapalany.

Nasza myśl polityczna nosi na sobie wyraźne piętno tych upodobań: jest bezładna i dorywcza.

Co musi najbardziej zdumiewać postronnych badaczów historji polskiej, to — w parze z wybuchami uniesień patrjotycznych — rażący brak stałej narodowej więzi organizacyjnej, niedorozwój czy zanik zmysłu gromadzkiego, który, nie tłumiąc bynajmniej poszczególnych prądów i różnicowań w łonie narodu, zrzesza i koordynuje wszystkie jego czynniki pozytywne.

Jak dawniej Rzplta zamiast stałej organizacji wojskowej poprzestawała na doraźnym „pospolitym ruszeniu", tak i dziś jeszcze stosuje się tu sposób jedynie dorywczych masowych wystąpień, w momentach krytycznych, na szańcach wspólnej sprawy.

Nie słychać natomiast o rozumowanych działaniach planowych, będących treścią właściwej polityki, która tak różni się od zbrojnych zajazdów, rokoszów, konfederacji lub ruchawek, jak państwo nowoczesne różni się od hordy, dorywczo zebranej pod wodzą jakiegoś Dżengishana, hordy, która potrafi w zwycięskim pochodzie przebiec pół świata, by ze śmiercią wodza rozwiać się w kurzawę.

Takim zespołem dorywczym było, do pewnego stopnia, stronn. dem.-narodowe, za czasów swej hegemonji w Królestwie, będące luźnym skupieniem najrozmaitszych żywiołów pod bezwzględnym przewodem jednej grupy.

Próba organizacji narodu, przedsiębranej w ten sposób, mimo chwilowych sukcesów, poszła na marne, bo system cały na błędnych oparł się podstawach.

Zamiast dźwignąć zespół syntetyczny wszystkich czynników narodu, chciano wtłoczyć go siłą w ramy jednego stronnictwa, takowe zaś poddać woli jednego człowieka.

Zamiast właściwej, zgodnej koordynacji, stworzono sztuczną dyktaturę. W dodatku, człowiek, co podpisywał odezwy partyjne imieniem „całego narodu", spiętrzył w krótkim czasie tyle uchybień i błędów zasadniczych i taktycznych, że rychło z całej rozległej budowli zostały gruzy, a sam on znalazł się odosobniony we własnym, nader już niepopularnym, obozie.

Skutki tego doświadczenia były fatalne.

Olbrzymia masa b. członków i „sympatyków" stronnictwa, nie przemyślawszy żadnej kwestji samodzielnie, idąc na ślepo, owczym pędem za imperatywem, kategorycznie rzuconym — po kilku dotkliwych zawodach, odwróciła się od wszelkiej polityki i zapadła w zupełną martwotę. Ludzie o mózgach ospałych, ociężali i bierni, tworzący znaczną większość każdego narodu, u nas liczniejsi niż gdziekolwiek, pośpieszyli skorzystać z wypadku, by zejść z widowni politycznej i ogłosić nowy, wygodny dogmat „bezpartyjności".

Wiadomo, że zachęta do czynu niezawsze jest skuteczna, ale hasło założenia rąk na piersiach liczyć może u nas na pewne powodzenie.

To też „bezpartyjność stała się modną. Zaczęto chlubić się nieomal niechęcią do czynu i brakiem przekonań; jednostki i grupy obnoszą jałowy sceptycyzm, jako najaktualniejszy program, przybrany — tytułem kontrastu — w przepowiednie zbawczych kataklizmów dziejowych.

I oto niechęć do jakiejkolwiek polityki staje się popularnym znakiem patrjotyzmu.

L'improductivité slave, skłonność do biernej abnegacji, kojarzy się w sposób niezrozumiały, i tylko psychice naszej właściwy — z hasłem najkrańcowszego nieprzejednania w dziedzinie żądań narodowych.

Zbyteczna dowodzić, że w tych warunkach wszelka myśl polityczna skazana jest na zagladę, a żadne stronnictwo ostać się nie może. Grozi nam zupełny zanik twórczości politycznej, zupełna dezorganizacja narodu.

Stronnictwa nasze zrzadka tylko dają znak życia; po istnej orgji analitycznych rozgraniczeń, rozpadły się one na mnogie odłamy i frakcje, zdradzając np. na skrajnej lewicy, jaskrawe cechy formalnego sekciarstwa z całym aparatem wybujałej newrozy religijnej...

Próżno byśmy szukali wzdłuż całego frontu stronnictw polskich przejawów jakiejkolwiek twórczej tendencji syntetycznej, która by te wszystkie poważnione i chaotyczne grupy sprzęgła w jedną całość organiczną.

Ten bezwład powszechny, ta niemoc organizacyjna, ta gnuśna bezczynność ogółu wobec plag i ciosów, jakie sypią się nań bezustannie — jest rzeczą poprostu haniebną.

T. zw. bezpatyjność w obecnych warunkach niczym usprawiedliwić się nie da.

Błędy taktyczne jednego stronnictwa nie świadczą chyba o wadliwości i zbędności wszelkich wogóle zorganizowanych poczynań.

Utarty zarzut, że „teraz nic zrobić się nie da" jest listkiem figowym, co kryje wstydliwe lenistwo.

— Na cóż stronnictwa — mówią „bezpartyjni" — po co kłótnie partyjne, skoro dziś wszyscy Polacy łączą się wspólną myślą i jednakim uczuciem.

Niebezpieczny to frazes i zła wymówka, bowiem, popierwsze, normalną rolą stronnictw politycznych nie są kłótliwe rozgraniczenia, lecz przedstawicielstwo całej pełni przekonań, kierunków i potrzeb narodu, podrugie zaś, niedość jest „czuć wspólnie" choćby najwznioślej i najgoręcej, należy wspólnie działać, a działania łącznie obmyślać, czego bez zorganizowanych zrzeszeń dokonać nie można.

Kto nad świadomą działalność polityczną przekłada owo mgliste „czucie" narodowe, ten z poziomu nowoczesnych metod organizacji narodowej wraca wstecz na niziny pierwotnego stadnego instynktu.

Popularne dziś hasło bezpartyjności jest więc modą bezwzględnie szkodliwą.

Winni wyzbyć się jej zwłaszcza postępowcy wszystkich odcieni, bardziej dziś liczni i wpływowi niżby się zdawało, lecz bardziej niż kiedykolwiek rozstrzeleni i przez to niezdolni do wzięcia czynnego udziału w nieodzownym dziele organizacji sił narodowych.

Do tego dzieła wzywamy wszystkich rozumnych obywateli, przypominając zarazem, że wszelka praca polityczna u nas powinna dziś kłaść nacisk nie na to, co dzieli, lecz na to, co łączy wszystkich Polaków w obliczu niebezpieczeństwa, któremu stawimy czoło czynnie i skutecznie dopiero wówczas, gdy z narodu bezładnie rozprzężonego staniemy się narodem zorganizowanym, świadomym swych środków i celów.

L. G.

ECHA PRAWDY.

Sąd pod sądem.

Zaledwie Pius X zdążył ogłosić swą ostatnią encyklikę przeciw powoływaniu osób duchownych przed sądy świeckie, zaskoczył go niebywały i nieprzewidziany wypadek: postawienia przed trybunałem świeckim całego sądu duchownego.

Sprawa, tocząca się obecnie w sądzie okręgowym jest tak jedyną w swoim rodzaju, posiada tak doniosłe zasadnicze a może i historyczne znaczenie, że niezawodnie wywołałaby żywe zainteresowanie, gdyby nie współczesna sensacyjna sprawa w Izbie Sądowej, gorączkowe oczekiwanie odpowiedzi na pytanie: kto zabił Chrzanowskiego?

Tutaj w Sądzie Okręgowym staje przed trybunałem nie ten lub ów winowajca, zdaje się bowiem, że winnych w znaczeniu moralnym nie ma wcale; każdy był w swoim prawie i działał w dobrej wierze.

Jest to tylko konflikt jednego prawa z drugim prawem; rozstrzyganą będzie nie wina, lecz błąd logiczny. Imię oskarżonego: anachronizm.

Sprawy małżeńskie podlegają prawu kościelnemu; wolno tedy rozstrzygać je w duchu Kościoła. Są jednak różne Kościoły a prawo musi być jedno, gdyż dla wszystkich jedne cywilne następstwa za sobą pociąga. Dobrze, póki jest pokój i wzajemna tolerancja między Kościołami; ale gdy one staną na stopie wojennej, sprawa tak się wikła, że w tym zamęcie prawo ginie. Wędrówka z kościoła do kościoła, częsta zmiana religji wystarczają, by się z pod jego kontroli usunąć, a wzajemne czynienie sobie na przekór, wiązanie tego co inni rozwiązali, a rozwiązywanie tego, co związali, — doprowadzić może z czasem do operetkowych kombinacji.

Czyż może być dosadniejszy argument za przywróceniem usuniętych z kodeksu Napoleona ślubów cywilnych?

Prus w obronie Skargi.

Szlachetne serce Bolesława Prusa zabolało na wieść, że ks. Piotrowi Skardze dzieje się krzywda. Tyle wieków czuliśmy w nim proroka, nieomal świętego patrona Polski, a oto teraz wolnomyśliciele polscy nazywają go warchołem, szkodnikiem, intryganiem..

Wszystko to jest niesłuszne, ponieważ: 1-o: On już przed 300 laty sformułował wyrok przeciw nierządowi Rpltej, a 2-o: Choć ten nierząd sam utwierdził i sankcjonował (r. 1606) to czyż „jakiś tam stary księżyna" mógłby to uczynić bez po-

W obronie demokracji.

Demokracja współczesna, jak staraliśmy się to w szeregu artykułów (*Prawda* № 1 4 „Biegunowi wrogowie demokracji") wykazać podlega napaściom ze stanowiska dwu przeciwległych krańców myślenia politycznego: ze stanowiska polityki reakcyjnej oraz polityki syndykalistycznej.

Już sama ta zgodność w atakach, skierowanych przeciw demokracji z dwu stanowisk przeciwległych, *a priori* nasuwa pewne wątpliwości co do znaczenia i słuszności zarzutów obu przeciwników.

Jeżeli dla jednych demokracja jest żywiołem nadto rewolucyjnym, i jeżeli dla drugich jest żywiołem zbyt mało rewolucyjnym, to samo przez się powstaje pytanie, czy nie stanowi ona właśnie żywiołu, w którym wymogi postępu uzgodnione zostały z poszanowaniem przeszłości, sprowadzonym do granic rozumnej polityki, która na fundamantach przeszłości buduje gmach doskonalszego ustroju przyszłości?

Marzycielom, rojącym sny (w dobrej lub złej wierze, z przekonania lub snobizmu literackiego) o wskrzeszeniu rządów absolutnych, nie warto odpowiadać. Ich mrzonki upadają same przez się.

Odpowiedzieć natomiast wypada napastnikom demokracji ze skrzydła skrajnej lewicy.

Sorel usiłuje dowieść, że demokracja w gruncie spoczywa na błędnej ideologji teologicznej, na przesłankach mistycznych, słowem na „mgławicy" metafizycznej.

Zarzut powyższy może być słuszny w zastosowaniu do pewnych teoretyków demokracji, jak np. Kant lub Rousseau, może być również słuszny wobec pierwszych prób wcielenia demokratyzmu, np. w początkowych republikach amerykańskich, ale bynajmniej nie bywa słuszny „zawsze i wszędzie". Przeciwnie, demokracja zawiera w sobie najmniej transcendentalizmu celowościowego, ponieważ nie dąży do jakiegoś z góry ustanowionego ideału kultury i moralności, wynikającego z postulatów metafizycznych. U podstaw demokracji leży zasada liczby, a więc zasada nie zawierająca w sobie nic mistycznego, nic tajemniczego. Zasada rzeczona znajduje ujście w następującym, niezmiernie prostym i skromnym rozumowaniu: jeżeli mamy iść za prawdopodobieństwem, którym kierujemy się we wszystkich wypadkach życia, to uznać musimy że wielka liczba interesów osobniczych bliżej stoi interesu powszechnego, niż mała liczba interesów osobniczych (jak bywa w ustrojach oligarchicznych. Co więcej: powodując się tymże prawdopodobieństwem, dojdziemy do przekonania, że ze ścierania się wielkiej liczby interesów osobniczych wyłoni się, jako wypadkowa, owa wizja interesu narodowego, który nie jest interesem powszechnym w znaczeniu sumy interesów poszczególnych, ale czymś wyższym, szlachetniejszym i czymś dalej sięgającym.

Następny, stawiany przez syndykalistów, zarzut oskarża demokrację o to, iż jest ona ustrojem nawskroś mieszczańskim, że przeto przeczy sama swej nazwie, stanowiąc w gruncie — „arystokrację mieszczańską". To określenie Sorela, w dużej mierze, słuszne jest w chwili obecnej, ale czy zachowa słuszność jutro? Demokracji nie należy utożsamiać z mieszczańskimi rządami parlamentarnymi, a tym mniej z tą opłakaną owych rządów postacią, jaką dziś widzimy: demokrację pojmować trzeba jedynie jako — mechanizm przedstawicielski. Owóż, ustrój przedstawicielski, czyli system obieralności, mimo wszelkie krytyki doktrynerstwa, mimo wszelkie ograniczenia praktyczne, którymi go zgnieść albo spaczyć pragnęliby jego przeciwnicy, w zasadzie ani jest ani może być kwestjonowany przez kogokolwiek.

Na dnie jego tkwi konieczność „logiczna" raczej, niż historyczna. System obieralności jest jedyną możliwą dla rządu podstawą, skoro nie chcemy nadal uciekać się ani do dziedziczności, ani do zamachów stanu, ani do przypadków losu.

Ale nie na tym koniec zarzutów przeciwko

parcia króla, senatu i sejmu? 3-o: Co Skarga mówił, za czym agitował, „to są dziś kwestje dziesiątego rzędu", 4-o: Wiadomo, że musiał być jako Jezuita ślepym narzędziem w ręku zakonu a 5-o: Każdy naród musi mieć człowieka, w którym widzi symbol cnót najbardziej w narodzie pożądanych.

Otóż to właśnie! Spór o Skargę toczy się nie o wartość jego duszy, lecz o to, czy jest on właściwym symbolem cnót najpotrzebniejszych w narodzie, czy nie jest raczej uderzającym lecz nie jedynym przykładem czci, składanej źródłom naszej zguby, tradycyjnego uświęcania nietykalności naszych błędów.

Gwiazdy osadzone w próchnie.

Na wielkiej scenie dramatycznej występują w obecnej chwili dwie niepospolitej miary artystki: pani Przybyłko - Połocka oraz pani Wysocka. Obie zesłał nam tylko — szczęśliwy przypadek; obie jawią się w charakterze tymczasowych gości; są one jak gdyby tylko cudowną przygodą świąteczną, która wplotła swe tęczowe nici w zwykłą przędzę powszedniości. Dzięki tej przygodzie fantastycznej, scena dramatu naszego świecąca zazwyczaj próchnem starości i rutyny, zajaśniała nagle czystym, prawdziwym ogniem — gwiazd. Niestety, dwie gwiazdy, choćby pierwszej wielkości, ale tylko dwie, nadomiar podzielone między obce sobie półkule „tragedji" i „dramatu", nie tworzą jeszcze konstelacji, zdolnej do zawarcia boskiej treści symbolu. Niwątpliwie próchno świeci także, gdy samotnie butwieje w ciemnościach. Ale pod światłem gwiazd traci ono swój połysk, i wydaje się już tym tylko, czym jest wistocie, popielniskiem wygasłego życia.

Czy widzieliście w „Klątwie Wyspiańskiego scenę ostatnią? — Na niebie pali się łuna pożaru. Płomień ofiarnego stosu, na który Młoda rzuciła swoje dzieci, w jakiś niepojęty sposób udzielił się niebu i ziemi. Burza straszna, jak gniew boży, stanęła nade wsią, patrząc sępimi oczami błyskawic w ślepotę sumienia ludzkiego. Nagle piorun uderza w duszę księdza: łamie się jego wiara pod ciosem żalu i zgryzoty; pękają sklepy sumienia, jak rozwalony grób, a z pod nich wstają upiory pomordowanych uczuć ludzkich, uczuć człowieka i ojca, zabitych w duszy księdza; wstają, powołane do życia już tylko dla rozpaczy i nędzy! „Czymże mi była moja wiara?" — pyta ksiądz, i w tej chwili jako odpowiedź, wpada na scenę Młoda, niby gorejąca żywa pochodnia, przecinająca martwą zimną brytę tłumu. „Piekło i niebo leci w gruz" - woła ksiądz, i kiedy Młoda szaleje w krwawym obłędzie śród tłumu, patrząc na scenę, wierzy się

demokracji. Jej główna wada ma polegać na tym, że właściwie ona jest tylko złudzeniem, urojeniem, mirażem; miast rzeczywistej władzy, obleka ona lud we władzę urojoną; daje ludowi zwierzchnictwo urojone; obywatel bowiem ma możność ziszczenia swego prawa zwierzchniczego tylko w dniu wyborów; z chwilą dokonania aktu wyborczego powraca znów na łono nicości politycznej, z powrotem popada w zależność od panów, których sobie wybrał: w rzeczywistości tedy system obieralności rządu, przyjęty w demokracji obecnej, sprzeciwia się dążeniom postępu, nadto zaś sprzeczny jest sam ze sobą.

I na ten zarzut odpowiemy również uwagą, że za fakt niewzruszony podaje się tu zjawisko, będące tylko epizodem dziejowym. Nie wdając się w szczegóły, które zawiodłyby nas zbyt daleko, wystarcza wskazać, że „referendum" nie jest dziś już chimerą ideologów, ale rzeczywistością, często stosowaną; wystarcza wreszcie podnieść, że, jeśli „mandaty imperatywne" dotąd nie istnieją, to bądź co bądź istnieje już i wywierany bywa nacisk zbiorowy (i nie tylko ze strony klasy robotniczej) wpływający na zmienianie i uchwalanie praw, nacisk będący jakby pewną postacią „mandatu imperatywnego". Poza zgromadzeniami prawodawczymi albo obok tychże powstają dziś i działają liczne stowarzyszenia, będące niejako organami „kontroli publicznej."

Z łona tych właśnie korporacji — nie zawsze mających barwę polityczną i niekiedy stawiających sobie za cel zwalczanie despotyzmu organizacji politycznych — promienują dziś pomysły i rzuty bardzo wielu reform. Parlament powoli zdąża ku przeistoczeniu się w prosty organ rejestracji tudzież równowagi państwowej: nieustannie spoczywa na nim oko kontroli powszechnej ze strony wszystkich wytwórców i współpracowników na polu bogactw narodowych.

(C. d. n.) *St. Romanowski.*

Reformacja i kontrreformacja wobec oświaty.[1]

2)

(Dokończenie).

W ciągu szesnastego wieku kraj nasz dzięki reformacji pokrywał się gęstą siecią szkół. Były to naturalne szkoły wyznaniowe ściśle ze zborami związane lecz bezpośrednio duchowieństwu nieulegające, gdyż w demokratycznym ustroju gmin reformowanych duchowni zależni byli od świeckich ciał, sprawujących rządy parafji, wnikających zarówno w gospodarkę kościelną jak w adminisrację szpitali, szkół i przytułków.

Głównym motywem działalności oświatowej, zwłaszcza gdy o ludowe szkoły chodziło, było nawracanie dusz. Na szczęście jednak kościoły protestanckie nie mogą tolerować analfabetyzmu.

Tam, gdzie nabożeństwo przedewszystkiem na czytaniu ewangelji polega, droga zbawienia nie może wieść przez mroki ciemnoty, tam zaś gdzie koronki i różańce zapewniają niepiśmiennym pełne równouprawnienie z uczonymi, ubóstwo ducha staje się raczej zaletą niż wadą. To też jeszcze w końcu XVIII wieku Hugo Kołłątaj pisząc o „stanie oświecenia w Polsce" wspomina o szkołach dyssydenckich w Gdańsku, Toruniu i Wielkopolsce, że dobrymi naukami przewyższały katolickie uniwersytety.

Potrzeba oświaty niewątpliwie żywo była odczuwana w owym czasie nietylko pośród dyssydentów. Łatwo jednak byłoby wykazać, że najznakomitsi i najzasłużeńsi na tem polu mężowie owej świetnej epoki pozostawali dłużej lub krócej pod wpływem „nowinkarzy" jak Jan Zamojski, syn kalwina, jak Andrzej Frycz Modrzewski, uczeń

[1] W poprzednim numerze, przy tytule dzieła „Dzieci i wolnomyśliciele polscy", opuszczono nazwisko autora, H. Merczyngo.

istotnie, że niebo i piekło rozprysło się w kawały, i że to nie istota ludzka, ale jakiś chyba szczątek z gmachu roztrzaskanych piekieł czy niebios runął na ziemię, dygocząc z bólu i miecąc przekleństwa.

Tak gra rolę M ł o d e j Wysocka. Jej słowa i jej ruchy zapalają duszę widzów i słuchaczy, ale tych, którzy się znajdują na widowni. Ci, bowiem, którzy są na scenie, obok jej i wespół z nią uczestnicząc w akcji dramatu, pozostają obojętni, głusi, nieczuli.

Ten sam stosunek powtórzył się także na przedstawieniu „Elektry" Hofmannsthala. Stosunek gwiazdy względem próchna. Aktorzy, którzy występują obok Wysockiej, łudzić mogą zwodniczym blaskiem, dopóki pozostają sami. Ale z chwilą, gdy ich oświetli talentem swoim prawdziwy artyzm, znika uwodność blasku, pozostaje — próchno.

Szczęśliwszą jest od pani Wysockiej pani Przybyłko-Potocka, która dla mistrzowstwa swej gry znajduje prawie zawsze artystyczne oparcie w osobach pp. Brydzińskiego lub Wostrowskiego, Ale też obaj należą do jasnych punktów, będących w zespole sił wykonawczych naszego dramatu tylko — wyjątkami.

Lekcja religji dziś a dawniej.

Lekcja religji w szkole ma obecnie nieco odmienne oblicze niż przed dziesięciu laty. Stanowi ona widowisko nielada. Że zaś nie każdemu sądzono je oglądać — dajemy jej obraz w autentycznym opisie jednej ze szkół „katolickich"...

Dzwonek uderza...

Katecheta wchodzi do klasy witany okrzykiem wesołości — jakgdyby się na arenie zjawiał najznakomitszy... komik.

Nim uroczyście zasiędzie on w fotelu — już biegnie ku niemu zwarta gromadka chłopców; jeden z nich niesie na ręku lalkę — inni stanowią świtę.

— Ochrzcić! — wołają...

Prefekt zrywa się zapieniony z katedry.

— Precz! Siadajcie na miejsca!

Zaiste trudno spełnić życzenie młodych, pragnących chrztu — a wreszcie, ktoś dowcipny tłumaczy głośnym okrzykiem powód oburzenia księdza prefekta:

— Bo rubla nie maciel...

Wszyscy pierzchają na miejsca.

Ksiądz usiłuje wtedy sprawdzać, kto był poprzedniej niedzieli na nabożeństwie szkolnym w kościele (operacja typu kartkowo-spowiedniczego). Naturalnie, obecnych był minimalny procent — reszta „tłumaczy się".

i przyjaciel Melanchtona, którego zwano „Praeceptor Germaniae". Trzyletni pobyt w Wittenberdze dał mu poznać gorliwą działalność protestantów w dziedzinie szkolnictwa; temu przypisać możemy że w swym dziele: „O naprawie Rzeczypospolitej" tyle znaczenia przypisuje i tyle mu miejsca poświęca. Treść poglądów Modrzewskiego na wychowanie została omówiona w broszurze d-ra St Kota wydanej we Lwowie nakładem Towarzystwa Nauczycieli szkół wyższych; jakim zaś było jego stanowisko między zwalczającymi się prądami reformacji i kontrreformacji, świadczą dzieje księgi piątej jego dzieła noszącej tytuł „O szkole". Poprzedza ją księga traktująca „O kościele" i obie były do pewnego stopnia ze sobą związane. Zawierały ostrą krytykę zachowania się duchowieństwa wobec szkoły, a projekt organizacji publicznego wychowania w Polsce opierał Modrzewski na podstawie materjalnej, wytworzonej przez uszczuplenie majątków i dochodów kleru. Dowodził on, że beneficja kościelne, które posiadają duchowni, zostały im tylko na to powierzone, aby celom nauki i oświaty służyły, że „przodkowie nasi ustanowili je dla ludzi naukami się bawiących." Ponieważ zaś w owym czasie blisko trzecią część obszaru Rzeczypospolitej stanowiły dobra kościelne i klasztorne z tego rodzaju zapisów przeważnie powstałe, słuszną było rzeczą z tego źródła na potrzeby oświaty czerpać.

Wiemy, że w dwieście lat później, po skasowaniu jezuitów, skonfiskowany majątek tego zakonu stał się finansową podwaliną wspaniałej budowy publicznego szkolnictwa w Polsce. Oczywiście Modrzewski ani myślał o kasowaniu zakonów lub konfiskowaniu dóbr kościelnych; sądził jeno, że należy zniewolić duchowieństwo do wypełnienia zobowiązań na niem ciążących, od czego ono stale i systematycznie się usuwało. Uporczywie broniąc się przed wszelkimi materjalnymi na rzecz szkoły ofiarami, dopominało się jednak wyłącznego wpływu na szkoły i oświatę na każdym synodzie domagając się zamknięcia szkół protestanckich i wytępienia protestanckich pedagogów.

„Niech będą poprawione przeszłego czasu omyłki" — woła Frycz — „Boć się tak rzecz sama w sobie ma, tak prawda, której ja sobie, chociażby wszyscy przeciwko niej mówili, wydrzeć nie dam; że wszystkie owe grunty i majętności ludziom uczonym należą, które jeśli kto okrom nich posiądzie, niech wie, że cudzą rzecz niesprawiedliwie posiada.. Kradną i wydzierają wszyscy, którzy na inną drogę niźli na drogę nauki i cnoty nastąpiwszy na dobra kościelne targają się."

Do tych dwuch ksiąg ostatnich przywiązywał Modrzewski tak wielką wagę, że chciał je wydać w Krakowie przed wydrukowaniem całości. Cenzura kościelna wdała się w tę sprawę i rozpoczęty druk przerwać nakazała. Autor odwołał się do synodu piotrkowskiego, obradującego w 1551 r. w czerwcu, z prośbą o zniesienie zakazu i obietnicą poprawienia błędu. Hozjusz badając książki z polecenia synodu zatwierdził konfiskatę, skutkiem czego dzieło Modrzewskiego tylko za granicą ukazało się w całości (w Bazylei), w Polsce zaś drukowano wyłącznie trzy pierwsze księgi.

Autor wyżej wymienionej broszury mówiąc o losach tej pracy Modrzewskiego, czyni przypuszczenie, że rzecz o szkole, nie zawierająca żadnych wycieczek w dziedzinę teologji, jedynie tylko przez łączność z księgą „o kościele" naraziła się cenzurze katolickiej. Jest to świadoma czy mimowiedna naiwność. Dziś, jak przed trzystu pięćdziesięciu laty, najniebezpieczniejszym heretykiem w oczach katolickiego kleru jest ten, kto się od niego rachunków pieniężnych domaga, kto na dochody kościelne świętokradzkie rzuca spojrzenie. Jeżeli teraz, u wstępu XX-go wieku, „Zaraniarzom" zarzucono protestanckie dążności, gdy proponowali opodatkowanie się gmin na kościół, stałe pensje dla proboszczów a skasowanie kościelnych akcydensów, to czyż dziwić się można, że w połowie wieku szesnastego upatrzył Hozjusz protestanckie herezje w książce, która wypominała księżom,

— Bo zaspałem..

— Bo byłem chory na żołądek...

— Bo ciocia do nas przyjechała i miała... chrypkę.. — jąka się wąsaty już młodzieniec udanym skromnym głosikiem ku uciesze całej klasy a przy akompanjamencie chóru płactwa, ponad którym świetnie góruje ryk gramofonu...

Ksiądz prefekt jest bliskim wściekłości.

— Co wy wyrabiacie? Do czego to podobne?

— Do nabożeństwa ...indyjskiego...

I klasa rozbrzmiewa wesołym „pogańskim" śmiechem.

Usiłowania prokuratorsko-śledcze pozostają bez skutku; niemasz tutaj nikogo, ktoby był „po tamtej stronie barykady" — z „czarnym profesorem"...

Wreszcie następuje krótki moment ciszy — więc prefekt chce „wyłożyć" rozdział dogmatyki szczegółowej lub apologietyki fundamentalnej:

„Ateizm... Ateizm jest to niewiadomość o Bogu, lub też niewiara. Ateizm dzieli się na praktyczny i.."

— ..Niepraktyczny — przerywa ktoś z ławek.

..teoretyczny — kończy ksiądz.

„Ateizm jest pokonalny i niepokonalny. Niepokonalny jest ateizm sceptyków, agnostyków, krytyków...

— ...Starych i zatwardziałych proboszczów, księży prefektów i papieży... — znowu dopowiada uczeń pełen skupienia i uwagi, a przytem gorzkiej złośliwości... Dwóch — trzech młodzieńców zapisuje treść wykładu tuż obok rozdziału kosmografji, fizyki lub historji naturalnej — inni bawią się rozmowami, śpiewem — wszyscy zaś są poza obrębem pracy w państwie wesołości — jak ksiądz prefekt jest poza zakresem nauki europejskiej i europejskiej umysłowości XX wieku.

Zaraźliwy wiew...

Trudno tutaj dać nawet w odbiciu obraz takiej lekcji — trudno powtórzyć setki wesołych powiedzeń i złośliwości, które prefekt musi przetrwać. Zaiste, ma on prawo do tytułu męczennika za wiarę skoro przeniesie rok takich udręczeń.

Ale nie zawsze przetrwa. Czasem porzucając myśl o łatwym męczeństwie i pochlebnym tytule, — wychodzi z klasy:

— Zawiadomię pana dyrektora (...pod opiekuńcze skrzydła władzy świeckiej — jak zwykle zresztą...). A młodzi się radośnie dziwią: — Wybiera się ksiądz od nas, szkoda... no ale trudno...

Andrzej — zajedź czwórką po księdza proboszcza dobrodzieja.

Czarny profesor ostencyjnie opuszcza klasę...

. . . .

Smutny to fakt i przykry. Nie godzi się go pomijać obojętnym milczeniem. Jedna ze sprzeczności, tkwiących w naszym systemie szkolnym,

że „cudzą rzecz“ nieprawnie sobie przywłaszczają dzierżąc majątki przeznaczone na cele naukowe, a nie ponosząc z nich żadnych dla nauki i oświaty ofiar?!

Pomijając różnice dogmatyczne, które nigdy i nigdzie na bieg życia wyznawców tej lub owej wiary silniejszego wpływu nie wywierają, a często zupełnie znikają z oczu, gdyż ogół nie wnika w teologiczne subtelności,—do zasadniczych kontrastów zwalczających się u nas w owym czasie kościołów — jako społecznych i politycznych potęg—zaliczać trzeba właśnie ten punkt, w którym między Modrzewskim a synodem piotrkowskim wyniknął zatarg. Kościół katolicki chce władać, posiadać, administrować bez odpowiedzialności i kontroli.

Szkoła jest dla niego tylko narzędziem do opanowywania i ujarzmiania umysłów, do rozszerzania swego świeckiego, doczesnego wpływu i władzy. Taką rolę grały w Polsce, jak wszędzie, kolegja jezuickie. Wszystko, co dla oświaty, dla rozbudzenia ruchu umysłowego i podniesienia poziomu nauki zostało u nas dokonane, czy to w XVI-tym, czy w osiemnastym wieku, zdziałano wbrew Jezuitom, w walce z nimi, przeciwko im lub kosztem ich upadku. Nawet uniwersytet wileński w początku dziewiętnastego wieku jeszcze staczał walkę z ich osławioną „Akademją smorgońską“.

W dobie ukazania się dzieła Modrzewskiego jeszcze Jezuitów nie było, był jednak fanatyk Hozjusz, głowa Kontrreformacji, której oni stali się armią regularną, znakomicie dyscyplinowaną i zorganizowaną. Wszystkie specyficzne jej cechy doprowadzili oni do nieprzewidywanej doskonałości, ducha i charakter hierarchji kościelnej odbijał ich zakon niby w powiększającym zwierciedle dając jej skarykaturowany, przesadny obraz.

„Tajne instrukcje Jezuitów“ zalecają między innemi, by dochody i majątki zakonu stanowiły najściślejszą tajemnicę nieznaną nietylko obcym lecz nawet członkom zgromadzenia. „Niechaj nikt prócz prowincjała nie wie, jakie są dochody“. Każde kolegjum z osobna powinno grać komedję żałośliwego ubóstwa, aby tym skuteczniej ściągać zapisy w formie jaknajdyskretniejszej, wszystko zaś co zakon nabędzie i posiada, powinno być zapisane na imię osób trzecich, przyjaciół lub tajnych członków zgromadzenia, albo wreszcie tych Jezuitów, którzy daleko mieszkają i są w danej okolicy nieznani!

Jakże to jaskrawo odbija od prostoty i przejrzystości stosunków w gminach protestanckich, gdzie zapisodawcy zlecając wykonanie swej woli zborowym i wybieralnym ciałom, zarządom parafjalnym, szczegółowo wskazywali, na co każdy grosz ma być użyty, nietylko ile pieniędzy ale nawet ile łokci sukna rocznie pobierać ma ten lub ów bakałarz, a wynagrodzenie kaznodziejów tak samo dokładną sumą określali!

Ta różnica ściśle gospodarska w wysokim stopniu jednak przyczyniła się do tego, że choć i tu i tam uczelnie wyrastały na kościelnym gruncie będąc pierwiastkowo tylko przybudówką Kościoła, —w cieniu katolickich świątyń więdły i marniały, wchłonięte przez klasztory, a rozwijały się, rosły, olbrzymiały wsparte o mury protestanckich zborów.

I. Moszczeńska.

Listy z Galicji.

II

(Dalsze pertraktacje w sprawie polsko-ruskiej ugody. Wystąpienie narodowych demokratów z lewicy w sejmie. Wykluczenie posła Jampolskiego z klubu ludowego i tak zwana fronde ludowa.

Sprawa ugody polsko-ruskiej posunęła się nieco naprzód, chociaż z trudem. Rusini zmniejszyli nieco żądania co do proc. stosunku swoich posłów, wracając do 31% zamiast 33⅓% jak w 1910

---

a będących tylko odbiciem sprzeczności, tkwiących w życiu.

Czemu przed dziesięciu laty było inaczej?

Ci, którzy widzą w bacie najważniejszy czynnik wychowawczy odpowiedzą nam:

— Była wtedy karność — młodzież się bała...

Ale to będzie tylko „powiedzenie“. Istota rzeczy leży w stosunku młodzieży do kleru dziś a dawniej.

Kiedy uczyliśmy się w szkole dawnej — ksiądz był w niej jedyną ostoją polskości i dlatego był autorytetem — liczono się z nim, i szanowano jako symbol. Ale symbol prysł jak bańka z chwilą gdy zawarte w nim pojęcia znalazły dla siebie inną formę. Dziś wobec stanowczego r o z g r a n i c z e n i a p o l s k o ś c i i k a t o l i c y z m u ksiądz prefekt bozostał bez atuta powagi — stał się wraz ze swym zestarzałym światopoglądem i systemem nauczania najkomiczniejszą postacią w oczach szybko mknącej fali młodzieży. Jest on teraz przedmiotem nieustannych drwin — a jego wiedza zbywana obojętnością. Jeszcze przed kilku laty klasa była nieraz terenem dysput religijnych, obecnie nawet na to nie zużywa się sił. Boć przecież ta godzina „religji“ minie — a potem już przyjdzie życie bujne i rwące naprzód, piękne, jakkolwiek nacechowane nieustanną walką. I dla tej walki młodzież zachowuje całkowicie swoją energję...

Liga Praw Narodów.

Tworzy się w Paryżu liga międzynarodowa „Prawa Ludów“ (du Droit des Peuples) której celem „organizacja opinji europejskiej ku poparciu ludów krzywdzonych w swym prawie do życia“

Liga tworzy w Paryżu centralne biuro informacji.

W porozumieniu z wielu kołami zagranicznymi Liga uznała za swój organ pismo *Les Droits de l'Homme*, w którym mieć będzie własny dodatek dwutygodniowy.

Na liście członków założycieli Ligi figurują nazwiska: pp. Fryderyka Passy, Anatola France'a, Emila Vandervelde'a, Jerzego Brandes'a, Pawła Desjardins'a, Gabriela Monoda, Ferdynanda Buissona, Emila Fabrea, Emila Verhaerena, Jerzego Raverat'a, Ludwika Havet'a, Jerzego Renard'a, Emila Hobhouse'a, Cunninghama Grahama, Torgrena i t. d.

Co nam powiedzieli Czesi?

Znajomość spraw czeskich jest dla nas, Polaków, rzeczą ze wszech miar pożyteczną, dobrą też myśl miał prof. Dickstein, inicjując niedawno fundusz 10,000 koron na koszta polskich odczytów

roku. Prócz tego godzą się na pewne rozszerzenie autonomji, sformułowane przez p. Starzyńskiego. Chodzi tu przedewszystkiem o wprowadzenie do Statutu Krajowego ustawy, mocą której wszystkie sprawy nie zastrzeżone wyraźnie Radzie Państwa należą do kompetencji Sejmu. Ustawa podobna przeszła już, przed laty kilku w parlamencie, chodzi teraz o to aby przez wprowadzenie jej do Statutu Krajowego uczynić ją trwalszą i uniemożliwić na przyszłość jednostronne zmienianie jej przez parlament centralny. Rusini godzą się też i na to aby statut Krajowy zastrzegł, iż organizacja gminna i powiatowa opierać się mogą na reprezentację interesów Żądanie to wystawili konserwatyści aby się zabezpieczyć przed radykalną reformą wyborczą do rad gminnych i powiatowych. Wprowadzenie tej zasady do Statutu Krajowego utrudnia zmianę na przyszłość, gdyż zmiana Statutu Krajowego wymaga większej niż zwykle większości.

Nawet na petryfikację Rusini się godzą w zasadzie, chociaż bliżej nie ustalono jej podstaw. Polacy godzą się ze swojej strony aby w wydziale Krajowym było 7, a z marszałkiem 8 osób, i z nich 2 Rusinów i godzą się też na zamianowanie przez marszałka dwu zastępców w Wydziale Krajowym, z których jeden byłby Rusinem.

Punktem najbardziej spornym pozostaje procent posłów rusińskich. Polacy chcą aby Rusini mieli 26,4% tak jak do Rady Państwa, i sposób zabezpieczania mandatów ruskich. Rusini pragną jednomandatowych okręgów, opartych na katastrze narodowym, ze strony polskiej konserwatyści i narodowi demokraci są temu przeciwni, a na razie i rząd.

Charakterystycznym jest, że narodowi demokraci sami przed laty wysunęli sprawę katastru, obecnie widząc, że Rusini pragną go także i że służyć on może za pomost do ugody, są mu przeciwni.

Nie jest wykluczone, że rząd podejmie się roli pośrednictwa, w sprawie reformy wyborczej, zrobi to jednak tylko na żądanie obu stron. Zastrzeżenie to ma naturalnie względne tylko znaczenie, gdyż, w razie komplikowania się sprawy i zaostrzania się walki narodowościowej rząd, w każdym razie musiałby interwenjować.

Przed posiedzeniem w dniu 3 lut. przewodniczący klubu lewicy sejmowej, dr. Leo otrzymał od narodowych demokratów list zawiadamiający go, że występują z klubu. Powód tego ustąpienia tkwi w chęci przeszkodzenia ugodzie polsko-ruskiej.

Dotychczas narodowi demokraci, należąc do klubu lewicy, i tworząc jego mniejszość nie mieli swojego przewodniczącego, którym był dr. Leo. Obecnie, chcąc przeszkodzić w ugodzie tworzą klub oddzielny, dzięki czemu mieć będą oddzielnego własnego prezesa biorącego udział w rokowaniach polsko ruskich. Można jednak mieć nadzieję, że inne kluby nie dadzą się zbić z tropu przez narodowych demokratów.

Klub ludowy wydalił ze swego grona posła Jampolskiego, który w przemówieniu swoim w sejmie wystąpił z krytyką własnego stronnictwa, a właściwie—mówiąc z kilkoma wykrzyknikami przeciwko jego taktyce. P. Jampolski jest posłem nieumiejącym sklecić nawet kilku zdań znośnie, jest on wielkim właścicielem ziemskim i zalicza się do tak zwanej frondy ludowej, organem której jest „Kurjer Lwowski".

Fronda ludowa wyodrębniła się od stronnictwa ludowego jako osobna grupa; ma ona 11 lutego odbyć własny zjazd organizacyjny. Zrazu wyróżniała się ona od reszty stronnictw tem tylko, że występowała przeciwko porozumieniu się ludowców z konserwatystami w niektórych sprawach patrjotycznych; zwolna jednak zmieniła swoje oblicze bardzo znacznie i obecnie stoi stosunkowo najbliżej narodowej demokracji. Fronda ludowa jest wrażliwą na frazesy i lubi uprawiać szumną opozycję. Od chwili przejścia do redakcji p. Młynarskiego, człowieka bardzo młodego, ongi ucznia p. Balickiego, a obecnie krzykacza niepodległościowego, „Kurjer Lwowski" stał się organem różnych młodzieńców, którzy najzawilsze problematy pa-

---

w Pradze, na co Czesi odpowiedzieli godnie, składając takiż fundusz na szereg odczytów czeskich w Warszawie.

Jeden z nich odbył się w zeszłym tygodniu w pięknej choć zdobnej w jaskrawe malowidła sali hotelu Europejskiego, gdzie zebrało się nader wykwintne towarzystwo: mówił red. Hovorka o historyku i polityku Palackym.

Nie był to wykład lecz rodzaj konferencji, treściwej i przystępnej, na temat bodaj w historji ludzkości najciekawszy: jak naród, zdało się, zgubiony bezpowrotnie, po trzech wiekach odrętwienia, zbudził się do życia, i sam własnemi tylko dłońmi, dźwignął na śmiertelnym pustkowiu gmach świetnego odrodzenia.

W ten obraz fascynujący wpatrzona oczyma duszy, słuchała polska publiczność z oddechem zapartym, jako po klęsce na Białej Górze wieki całe leżał naród czeski jak umarły, zatraciwszy nawet poczucie jaźni swoistej, bo język i obyczaj niemiecki panował władnie w górnych jego warstwach, a tylko wzgardzony gmin obstawał przy gwarze ludowej czeskiej; jak z najniższych kondygnacji narodu, z chłopskiej chaty na Morawach, wyszedł ten, któremu sądzono było stać się prawdziwym narodu swego mistrzem i przywódcą: Franciszek Palacky. Kapitalna jego praca — *Dzieje Narodu Czeskiego* — obok *Starożytności Słowiańskich* Szafarzyka i *Słownika* Jungmanna — legła kamieniem węgielnym u spodu czeskiego odrodzenia. Wielki plebejusz, Palacky, mąż kryształowej czystości charakteru, obrał był sobie za wzór naszego Kościuszkę, ale, szczęśliwszy postokroć, z wyżyn swej pomnikowej chwały spogląda dziś na tryumfalnie rozpartą, pęczniejącą wzdłuż i wszerz, wolną od hegemonji niemieckiej — Złotą Pragę.

Słuchając prelegentów czeskich, trudno oprzeć się pewnemu uczuciu goryczy. Wyłania się ono z mimowolnych zestawień wzajemnej kolei losu i dróg przebytych. Mimo bliskiego pokrewieństwa, mimo niekłamanej wzajem sympatji, należy przyznać, że naród czeski innym się od nas duchem powodował i odmienną szedł drogą. Podejmowany w roku zeszłym prof. Bidlo powiedział nam dobitnie, że chlubą genjuszu czeskiego był Jan Huss, heretyk i reformator spalony na stosie za to, że pierwszy z pośród Słowian rzucił hasło samodzielności narodowej w rzeczach religji.

Duch czeski był i po dziś dzień pozostał uparcie heretycki, do samego rdzenia przejęty chłopskim, zdrowym racjonalizmem, dzięki czemu, naoścież otwarty współczesnym ideowym prądom, dorównywa z łatwością przodującym w kulturze narodom zachodu

Heretycy i wolnomyśliciele, są Czesi również szczerymi demokratami. Przewodnia myśl Hussa,

trjotyczne i narodowe rozwiązują w sposób bardzo łatwy. W każdym numerze pisma musi być kilka frazesów o niepodległości Polski, którą p. Młynarski chce zdobyć w sposób naiwny. Dla niego nieistnieją żadne trudności, trzeba tylko chcieć a reszta to głupstwo. Młodzieńcy z „Kurjera" wyobrażają sobie, że krzykami i wiecami zmuszą Austrję do prowadzenia polityki nie austrjackiej ale tylko polskiej, sojuszu z niemcami nie uznają, ale chcą zarazem wojny z Rosją. Kołu Polskiemu właśnie robią dziecinne zarzuty, że nic dla niepodległości nie zrobiło. Chcą przymierza Polski z Austrją, ale nie łącznej polityki; nie zdają sobie sprawy że przymierze może istnieć tylko pomiędzy stronami równymi, ale nie pomiędzy społeczeństwem polskim, żyjącym pod rządami austryjackimi a Austrją. Protestują natomiast przeciwko łączeniu interesów polskich i austryjackich w polityce zagranicznej. Głównych wrogów widzą w namiestniku Bobrzyńskim i w prezesie Koła Bilińskim.

Artykuły *Kurjera* są przeważnie humorystyczno-sentymentalne. Żadnego poczucia rzeczywistości, żadnej jasnej koncepcji politycznej. Trudno zaprzeczyć dobrych chęci młodzieńcom z *Kurjera*, nie posiadają jednak elementarnego wykształcenia politycznego i są krzykaczami z profesji. P. Wysłouch niestety jest tak wobec nich tolerancyjny, że pozwala im pisać wszystko. Fronda ludowa upatruje wszędzie zdradę, wszędzie widzi tylko targowicę i zaprzedawanie się Austrji. Pragnie wyzyskać Austrję dla swoich celów, i dlatego uważa, że najlepszą do tego drogą jest wymyślanie na nią i wykazywanie sprzecznych z nią interesów. Liczy na armię austrjacką i dlatego sądzi, że trzeba naruszyć dobry stosunek istniejący pomiędzy Polakami a dynastją, w imię niepodległego „ducha narodowościowego".

Fronda ludowa jest grupą demagogiczną, wprowadzającą chaos do umysłów, utrudniającą wyrobienie polityczne młodszych pokoleń. W gruncie rzeczy akcya jej jest na rękę narodowym demokratom.

Ludwik Kulczycki

Przyrodoznawstwo czy Humanizm?

(Ciąg dalszy).

W szeregach ludzi, zasłużonych nauce, — powiada Poincaré[1] — znajdziemy zarówno jednostki, które otrzymały w młodości staranne wykształcenie klasyczne, jak też jednostki z wykształceniem literackim powierzchownym, ogólnikowym, albo całkiem kultury humanistycznej pozbawione. Nastręczałby się stąd wniosek, że studja literackie nie przynoszą korzyści uczonym, wielu bowiem uczonych potrafiło się bez nich obejść. Atoli byłby to wniosek zbyt nagły. Możemy-ż twierdzić, że naprawdę między dziełami jednych a drugich żadna nie zachodzi różnica, po której daloby się rozpoznać różność pochodzenia? Trzebaby, celem pozyskania pewności, przeprowadzić mozolne porównania; ale gdyby nawet porównania te wykazały, że jedni byli tak samo dobrymi uczonymi jak drudzy, czegóżby to dowodzić mogło? — Fakt tłomaczyłby się całkiem naturalnie. Przez długie lata klasy humanistyczne były jedyną drogą do zasłynięcia w nauce; i wogóle wybicie się ponad swój stan połączone było z nadzwyczajnymi trudnościami. Ci, którzy trudności owe pokonali, uczynić to mogli jedynie dzięki niepospolitej energji: energja i wybitne zdolności zastępowały im i równoważyły wiele innych korzyści, stawiąc ich na równym poziomie z umysłami, bardziej wykształconymi aczkolwiek mniej uposażonymi w energję i zdolności samorodne.

Co jest rzeczą pewną, to to, że uczeni mający poza sobą wykształcenie klasyczne, radzi zeń bywają wszyscy, gdy tymczasem uczeni, którzy klasycyzmu nie przeszli, skarżą się i ubolewają zazwyczaj z tego powodu. Skąd owe skargi i ubolewania płyną? Czy z przeświadczenia, że nauka to — nie wszystko, że trzeba naprzód żyć, i że kultura humanistyczna otwiera przed nami jednocześnie nowe podstawy istnienia i nowe źródła życia?

[1]) „Les sciences et les Humanités". Paris. 1912.

z dziedziny religji na grunt polityczny przeniesiona, wybłyska u Palacky'ego.

Wielki historyk ideę wyzwolenia Czech oparł na zasadzie liberalnej, którą łacno ująć można w ramy znanego nakazu: nie czyń drugiemu co tobie nie miło. Hasłem czeskiego odrodzenia — hasłem skutecznym — jest okrzyczane masońskie godło: Wolność — Równość — Braterstwo. Program polityczny czeski jest nawskroś realny: mieści się całkowicie w granicach autonomji i federacji, stroniąc zarówno od skrajnej ugody, jak i od nieprzejednanej irredenty. Palacky, ten wielki patrjota, nie marzył o rozgromie Austrji; przeciwnie: „Gdyby Austrji nie było — mawiał — należałoby ją stworzyć.„

Cóż dziwnego, że Czesi tryumfują? Mieli tak nawskroś odmienne od nas tradycje i metody.

Myśmy narodem szlacheckim, pełnym jeszcze uprzedzeń i wstrętów do „radykalnego mieszczaństwa", oni — przejęci nawskroś duchem chłopskiej, gromadzkiej demokracji, co potrafi cudów dokazać pod hasłem: „sami sobie."

Byliśmy pono zawsze wiernym podnóżkiem Watykanu, Wandeą środka Europy, własne zaniedbując sprawy gwoli obrony kościelnych interesów; Czesi umieli ducha narodowego wywyższyć nad stane z Rzymu kanony.

My i dziś jeszcze żywimy niekłamaną odrazę do „pryncypiów" i „szumnych haseł" zachodniego mieszczaństwa, zaś wyraz „postęp" ujmujemy w cudzysłów lekceważenia—podczas gdy Czesi z „pryncypiów liberalnych" ukuli żelazny postument swego bytu, „szumne hasła" zaprzęgli do płodnej pracy. Postęp jest najistotniejszą treścią ich życia i kultury, godłem narodowym, o którym słusznie rzec mogą szczęśliwi ziomkowie Palacky'ego: *In hoc signo vincemus.*

L. G.

Nie wszyscy mają to głuche poczucie, że humanizm oddaje usługi nie tylko człowiekowi, ale ściślej biorąc, usługi również oddaje uczonemu, badaczowi.

Gdy jednak chodzi o wyszczególnienie owych usług, zdania zazwyczaj się dzielą. Jedni korzyść klasycyzmu dostrzegają w rozwijaniu zmysłu analizy, który bogatą karm' dla siebie znajduje w porównywaniu form językowych. Drudzy korzyść widzą w ćwiczeniu wrażliwości na odcienia, odmiany, różnice. Inni wreszcie chwalą klasycyzm za to, że podnosi ducha po nad pospolitość, po nad codzienność. Zwolennicy kultury literackiej powołują się tedy na dowody najróżnorodniejsze. Czyż mają słuszność wszyscy? — Niepodobna pytania tego rozstrzygnąć bez kolejnego uprzedniego zważenia owych dowodów, co pociąga za sobą konieczność wejścia w pewne szczegóły.

Poincaré bierze naprzód pod rozbiór przykład matematyka i stawiąc zagadnienie najprościej, pyta: jest-li dlań rzeczą pożyteczną pisanie ćwiczeń i przykładów? Czy wykształcenie oparte na kulturze literackiej może przydać się mu w pracy specjalnej? Na pytanie to autor „Wartości nauki" odpowiada: stanowczo, tak! Studja literackie dla młodych matematyków bywają nietylko pożyteczne, ale — nieodzowne. Język nasz, za pomocą zmiennych końcówek, niekiedy za pomocą szyku wyrazów w zdaniu, nadaje myślom tysiączne odcienie. Najdrobniejszy z owych odcieni, niewłaściwie użyty, może zepsuć całą linję rozumowania, od której żadne odchylenia są niedopuszczalne. Aby opanować te odcienie, trzeba się uczyć je odczuwać; trzeba je chwytać w lot bez wahania i bez chyby, a do tego tylko nawyk długi może nas uzdolnić.

Dziecko pojmuje zdanie *en bloc*, jeśli tak można się wyrazić, i gdyby mu pozwolono, napisałoby je całe jako jeden wyraz. Każde słowo staje się dlań jakoby ośrodkiem skojarzenia idei, jakoby pochodnią, oświetlającą cały łan świadomości; rozmaite słowa tego samego zdnia świecą jednocześnie; ich blask zlewa się ze sobą; pola, które są przez nie oświecane, zachodzą jedne na drugie, tak iż rozpoznać nie podobna z której mianowicie pochodni każde miejsce czerpie najwięcej światła.

Jest to ów rodzaj promieniowania wyrazów, który zwykle nazywamy—rozumieniem zdania. Większość ludzi, nawet dojrzałych, poprzestaje na tym rodzaju rozumienia: najświatlejszym pośród nas wystarcza on w dziewięciu wypadkach na dziesięć; wistocie ten rodzaj pojmowania języka wystarcza dla codziennego użytku w życiu. Każde zdanie, mocą samej gry skojarzeń, poddaje nam ruchy właściwe; gdy ktoś mówi mi: idź na prawo, mięśnie mające mnie skierować ku prawej stronie, kurczą się same przez się. W życiu codziennym — to wystarcza.

Ale już w wielu wypadkach, cokolwiek bardziej złożonych, — to zamało. Dla mechanizmu zaś tak bardzo złożonego, jak rozumowanie matematyczne, wystarczać ono absolutnie nie może. Dowodzenie matematyczne jest mechanizmem tak misternym, że zdań całych, branych w masie, przepuszczać przezeń nie można; wymaga ono materjałów delikatniejszych, rozczłonkowanych, niejako, na drobne kawałki, w drodze analizy gramatycznej.

Dla tego, kto się w owej gimnastyce wyrazów nie ćwiczył, a pomnożone przez b i b pomnożone przez a, zdania mające w matematyce ściśle i odrębne znaczenia, będą tylko jakąś ideą, jakimś niewyraźnym wyobrażeniem mnożenia; takie wyobrażenia niejasne dla matematyka bywają zupełnie nieprzydatne. Zdaniem lingwistów, język chiński (może dla tego że składa się z wyrazów jednozgłoskowych i przeto nie posiada gramatyki) niezdolny jest do wyrażenia pewnych odcieni delikatnych, które my oddajemy zapomocą zmiany końcówek; to też dla braku narzędzia, któreby pozwoliło rozumować im ze ścisłością, Chińczycy nie posunęli się w matematyce po za wiadomości elementarne.

Ci z europejczyków, powiada Poincaré, którzy języka swego nie znają w całym bogactwie subtelnych jego odcieni, lecz władają nim zgruba, tak jak dziecko lub człek bez kultury, ci stawiają siebie na jednakowym poziomie z chińczykami.

Lecz jakże wznieść się z owego niższego poziomu, właściwego dzieciom, na poziom wyższy, na którym zdanie przedstawia się już nie jako niezróżnicowana masa, ale jako organizm złożony z członków i narządów, określonymi powiązanych ze sobą stosunkami? Oczywiście droga do owego wyższego poziomu wiedzie poprzez analizę form wyrazowych. Pedagogja stworzyła w tym celu dwie metody. Pierwszą jest rozbiór gramatyczny, drugą — praktyka ćwiczeń i przekładów.

Rozbiór gramatyczny! Obmierzłe wspomnienie z lat dziecinnych. Za naszych czasów spędzano na ławie szkolnej długie, nieskończenie nudne godziny na pracy koło rozbioru gramatycznego. Nie było obrazów tak płomiennych w poezji — greckiej i rzymskiej — którychby nie przysypano nam żużlami formuł i reguł. Tkliwa, perłami dzwoniąca liryka Horacego, miłosny zachwyt Owidjusza, tragizm Sofoklesa, męzka zwarta spiżowość Cezara, głębia Platona i natchniony żar słów Demostenesa, — wszystkie te skarby spoczęły dla ówczesnej młodzieży naszej w wielkim sarkofagu nudy, zamurowanym na zawsze ręką rozżartych filologów, których szał bakchiczny gnał w jakiś nieuskromiony pościg za lubą zwierzyną aorystów, gerundjów, partycypjów i plusquamperfectów!...

Ów pościg nieustający był wirowaniem w zaklętym kole próżni. Konjugowano dla konjugacji, deklinowano dla deklinacji. Wszelkie prawidła i formuły pozostawały oderwanymi ogólnikami, które umysłowi młodzieży nic zgoła nie mówiły. Czuło się dokoła nich pustkę, daremność wysiłku umysłowego. Wprawdzie większość uczni już w klasach niższych dawała sobie z nimi rady, ale dochodziła do tego drogą empiryczną; dla nich, naprzykład, wyraz stojący przed rzeczownikiem, będzie podmiotem, stojący za czasownikiem dopełnieniem: z prawdziwych stosunków, w jakich wyrazy te względem siebie zostawały, większość dziatwy nie zdawała sobie sprawy.

Ale inna rzecz — rozbiór gramatyczny, inna — sporządzanie przekładów i ćwiczeń. Potępiając pierwsze, Poincare wysoko podnosi użyteczność drugich. Czuwając nad ściśłością przekładu, uczeń nie obraca się w kole abstrakcji; każdy wyraz nabiera dlań osobnej barwy, posiada własne oblicze; tekst autorów w jego oczach mieni się i — żyje.

(d. n.). *J. Pomirski.*

BADANIA NAUKOWE.

Aleksander Świętochowski: „Źródła moralności".[1]

Nie poraz pierwszy zajmuje się autor rodowodem moralności. Już przed 36 laty Świętochowski ogłosił po niemiecku, a w rok potym rozszerzoną po polsku rozprawę p. t. O powstawaniu praw moralnych. Praca ta podówczas była zjawiskowym w nauce polskiej uprzedzeniem idei, mających świetne znaleźć uzasadnienie w pracach Letourneau, Wundta, Höffdinga, Sutherlanda, Westermarcka. Trysnęła ona jasnym płomieniem śród powszechnego mroku. Rzucając wyraźne światło na kierunek, w którym zaczynała posuwać się współczesna myśl europejska, rozprawa Świętochowskiego mogła była stać się dobrze wróżącym zapoczątkowaniem badań w nowej dziedzinie pracy naukowej. Była ona jakoby pierwszym oblotem badawczym wokół tej dziedziny, pierwszym wytknięciem jej granic. Niestety inicjatywa Świętochowskiego nie znalazła poparcia ani śród krytyki, ani śród publiczności. Książkę przyjęto milczeniem, dyletancką pychą lub tak zwykłą u nas szykaną. Odtąd nikt u nas początków moralności w procesie rozwojowym nie badał, nikt nawet nie dostrzegł w nich kwestji pierwszorzędnego znaczenia naukowego, gdy tymczasem zagranicą zrodziła ona bogatą i niezmiernie pouczającą literaturę. Po 30 latach autor, wracając na pole swych młodzieńczych badań, zastał znów, jak ongi, ugór pusty i zaniedbany. W taki to sposób upośledzenie i niemoc umysłowa ogółu nabiera u nas złowrogich barw kontrastu w zestawieniu z samotnym wysiłkiem jednostki. Opierając się na zasobach wiedzy, gromadzonej nieustannie w ciągu lat kilkudziesięciu, Świętochowski po raz wtóry swym wysiłkiem odosobnionym usiłuje myśl polską, w zakresie badań nad pochodzeniem moralności, dźwignąć do poziomu nauki zachodniej, i stawia nas po raz wtóry w szeregu żywej współczesności.

Dzięki pracy jego ostatniej, szeroki prąd umysłowości europejskiej wleje się ponownie w ciasne łożysko polskiej kultury. Czytelnik polski znów pozyska wstęp otwarty na teren dociekań, prób i odkryć ostatniej doby, na teren, gdzie kipi praca tak zasłużonych badaczy, jak Levy-Bruhl, Albert Bayet, E. Durkheim, twórczych, ideowych następców Comte'a, którzy ze spuścizny swego mistrza odrzucili doktrynę, będącą w gruncie niczym innym, jak tylko nową, jeszcze jedną „filozofją historji", natomiast przyjęli i zatrzymali jego metodę pozytywną w traktowaniu zjawisk społecznych.

Metoda owa przed nauką ścisłą rozwarła dziedzinę zjawisk społecznych, w której udzielnie dotychczas władała metafizyka. Narówni z religją, z prawem, z dziejami języka, stała się dziś przedmiotem badań ścisłych również sfera zjawisk moralnych, sfera w której religja i metafizyka, ze swymi tradycyjnymi sposobami pojmowania, najgłębsze zapuściła korzenie.

Wedle owych pojęć klasycznych i tradycyjnych, moralność uważano zasadniczo za kodeks nakazów bezwzględnych, opierających się na podstawie odpowiedzialności osobistej. Nakazy przez kodeks ów ustanowione wyrażane były stale w sposób oderwany, bardzo ogólnikowy, tak aby mogły stosować się do wszelkich skupin społecznych.

Pierwszym zadaniem poznania naukowego, obejmującego w posiadanie dawną krainę metafizyki, stało się rozgraniczenie, w obrębie moralności, kwestji teoretycznej od kwestji praktycznej, oddzielenie nauki od zastosowań użytkowych, jakie z niej mogą wynikać. Durkheim tudzież jego zwolennicy znakomicie uwydatnili doniosłość pomienionego podziału w całym szeregu prac swych, niezwykle jasnych, acz tak niekiedy błędnie rozumianych. Zbyteczną byłoby rzeczą streszczać tutaj przełomowe ich spostrzeżenia i wnioski. Poprzestanę na zwróceniu uwagi jedynie na punkty następujące, ponieważ są one punktami wyjścia dla pracy Świętochowskiego:

1-o Rola nauki nie zasadza się w dziedzinie moralności na formułowaniu reguł postępowania. Polega ona, natomiast, na badaniu rzeczywistości moralnej, t. zn. faktów moralnych oraz ich praw. Uczucia moralne, idee, wyobrażenia, obyczaje traktowane powinny być przez naukę jako rzeczy, i badane, jako takie.

2-o Nauka o obyczajach (wedle Świętochowskiego: etologja) w ten sposób określona, stanowi część socjologji. Rzeczywistość moralną może ona badać należycie jedynie pod warunkiem rozpatrywania jej od strony społecznej w różnych grupach zbiorowych. Zróżnicowanie się powyższej nauki nie jest dotąd silnie uwydatnione z powodu jej niedawnych narodzin. Nabierze ona wyraźnych zarysów i określoności dopiero na podstawie dalszego postępu.

3-o W miarę rozwoju socjologji oraz, szczególniej, etologji, odsłaniających źródła uczuć i pojęć moralnych w duszy indywidualnej i w duszy zbiorowej, zrodzi się podstawa dla etyki naukowej czyli możność wytworzenia rozumowanej sztuki moralnej, zdolnej świadomie i skutecznie oddziaływać na fakty moralne.

Niepożytą tedy zasługą i zdobyczą badań najświeższych, w zakresie moralności, jest zdarcie osłon z długo niedostrzeganego sofizmatu, z sofizmatu, który od wieków tail się w lesie splątanych ze sobą pojęć tradycyjnych, obwarowanych nietykalnością, oszańcowanych dogmatyzmem. Ów sofizmat polegał na przedstawianiu moralności, jako spekulacji teoretycznej, przyczem w zależności od upodobań osobistych, jedni upatrywali w niej metafizykę czynu, inni—naukę eksperymentalną: w gruncie oba rodzaje nie różniły się zasadniczo od siebie, gdyż doświadczenie nie mogąc z zasobów własnych wysnuć rzeczywistych wskazań tego, co czynić należy, ustępowało pola zręcznym rzutom fantazji, budującej gmachy metafizyczne na lodach djalektyki. Bliższe atoli wejrzenie w istotę moralności, przekonać musiało, że nie ma ona nic wspólnego ze spekulacją teoretyczną, czyli z procesami poznawczymi. Ażeby działać, trzeba oczywiście wiedzieć, trzeba poznawać, ale wiedza sama nie wystarcza; trzeba ponadto używać swej wiedzy, posługiwać się nią.

Zali nie widzimy, że obok każdej z nauk, czysto teoretycznych i bezinteresownych, równolegle z ich rozwojem, powstają i rozwijają się odpowiednie im sztuki stosowane, rozmaite gałęzie technologji, które, opierając się na zdobyczach naukowych, dążą do zużytkowania ich praktycznego celem przekształcania, w kierunku potrzeb naszych, zjawisk i rzeczy, odsłanianych przez czyste doświad-

[1]) Nakład Gebethnera i Wolffa, 1912, Warszawa.

czenie i bezinteresowną naukę? Matematyka czysta pozwala nam tworzyć narzędzia pomiarów. Mechanika pozwala budować maszyny. Fizyka powołała do życia sztukę inżynierską, będącą chlubą naszego stulecia. Chemja znalazła zastosowanie w całym szeregu przedsięwzięć przemysłowych. Czymże są wreszcie medycyna i higjena, jeśli nie sztuką stosowaną, dającą przeznaczenie użytkowe doświadczalnym wynikom anatomji, biologji i fizjologji?

Czyliż nie to samo powiedzieć wypadnie o moralności? Moralność praktyczna, jak wszelkie usiłowanie, mające na celu oddziaływanie na świat zjawisk i rzeczy, nie jest nauką, ale sztuką, pewnego rodzaju — techniką. Zadanie jej polega na tym, aby dla zaspokojenia potrzeb, nastręczanych przez doświadczenie, spożytkowywać wyniki naukowe przedewszystkim etologji (badania obyczajów) a także i wogóle — socjologji.

(D. n.) *W. Rzymowski.*

KRYTYKA.

Herman Bang.

(Urodzony w r. 1857 na wyspie Als w Danji, zmarł w końcu stycznia r. b. w Ameryce).

Talent Hermana Banga rozwinął się bardzo wcześnie. Nie miał jeszcze lat dwudziestu, gdy wydał swoją pierwszą powieść, przyjętą w Danji z niesłychanym entuzjazmem. Były to „Beznadziejne pokolenia". W przedmowie do tej książki młody autor pisał: „Zdaje mi się, że życie Wiljama Höga służyć powinno jako ostrzeżenie. Oto dlaczego opisałem to wszystko, co przeżył na drodze swego życia ten nieszczęśliwy człowiek".

„Beznadziejne pokolenia" książka napisana ze zdumiewającą dojrzałością myśli i artyzmu — jest historją potomka starej znakomitej rodziny, który już na progu młodości przeżywa podwójny dramat: upadku swego rodu, który, wydawszy szereg znakomitych ludzi, chyli się ku śmierci, trawiony obłędem i melancholją, oraz — swego osobistego rozprzężenia, swej starości zanim doszedł szczytu, przedwczesnego rozczarowania, którego źródłem jest schorzałość i starczość rasowa. Jest więc historja Wiljama Höga nietylko ponurą historją pewnej jednostki lub rodziny, lecz zarazem dokumentem dziejowym, z historji Danji. Jest to dokument artystyczny, karta z martyrologji warstw górnych i wpływowych, które napróżno wyciągają ręce po nowe, choćby najszlachetniejsze zaszczyty. Na pewnych wyżynach życie zamiera, a Wiljam Hög jest ofiarą bez winy nietylko za grzechy rodu, lecz i za jego dawną wybujałość i świetność. Posiada on głęboki umysł, przedwczesną dojrzałość, szlachetne aspiracje, lecz życie samo przez się, bez celu, zatrważa go. Musi mieć cel, coś robić dla szczęścia własnego i innych. Chce zostać artystą dramatycznym. W tym dążeniu natyka się na coś wrogiego, co w pewnej chwili powstaje w nim, aby zniszczyć jego zamiary. Jest to tchórzostwo, dzikie obezwładniające tchórzostwo, którym Hög gardzi, ale którego wobec tłumu nie może się pozbyć. Zdawałoby się, nic prostszego, jak szeregiem usiłowań przełamać w sobie ten odruch słabości. Lecz Hög należy do natur, w których rzekomo drobne nieszczęście rozrasta się do rozmiarów miażdżącego kataklizmu. Gdy mu się występ nie udał, występ, do którego szykował się z gorączkową wytrwałością — czuje się skazanym na śmierć — i prawdopodobnie ma słuszność. To drobne niepowodzenie jest w istocie głosem Natury, która mu mówi, że jest typem do celów życia niezdatnym — że jest *odrzuconym*. Gdy tyle wysiłków poszło na marne, Hög czuje się pokonanym ostatecznie.. „Dokądkolwiek zwracał spojrzenie—wszędzie spotykał apatję i nieszczęście. Nikt nie chciał pracować, a wszyscy chcieli żyć... I on był podobny do innych, dopóki nie ogarnęła go ta nadzieja, i nie uczyniła silnym. Silnym! Nie, nie silnym — lecz on walczył, aby nim zostać".

Lecz co jest zarówno cechą charakterystyczną Wiljama Höga, jak jego chlubą i dostojeństwem? To — rzec można ku chwale najlepszych ludzi epoki współczesnej, — że patrzy on nieustraszenie na swą drogę bez nadziei, nie zamyka oczu, nie ucieka pod sutannę księdza, (jak u Arne Garborga w „Znużonych duszach"), nie szuka złagodzenia swych cierpień w fikcjach i ułudach.

Po tej pierwszej świetnej powieści Bang w ciągu trzydziestu przeszło lat swej działalności pisarskiej ustawicznie powracał do opracowanego tu tematu. Zagadnienie tragikomedji losowej jednostki, która z racji przypadku, urodzenia, nieodpowiedniego związku zwolna gaśnie i ginie, było dla Banga jedną z tych natarczywych idei, którym przez całe życie artyści muszą oddawać swój talent. W długim szeregu swych nieszczęśliwych „dzieci" ma Bang i księżniczkę habsburską (Marję Karolinę), duszącą się w czadzie nadwornej etykiety i syna praczki — Franciszka Pandera, potomka nieprawego łoża jakiegoś wytwornego mężczyzny, po którym Franciszek Pander odziedziczył arystokratyzm ducha, lecz los kazał mu zostać kelnerem — i „cudowne dziecko" Karolka Dupont, którego wątłe życie i talent łamie się w łapach chciwych przedsiębiorców.. I tyle, tyle innych: starych panien, cyrkowców, klownów, poskramiaczy dzikich zwierząt...

Kobiety Banga — to albo nienasycone, lecz chłodne samice — w rodzaju hrabiny Hatzfeld z „Beznadziejnych pokoleń", albo istoty namiętne, które kochają jak w obłąkaniu i giną z miłości (*Tine*, z powieści pod tym tytułem, w której maluje Bang grozę wojny prusko-duńskiej r. 1864 i *Katinka* z powieści „Przy drodze") albo wreszcie istoty zwyciężone przez życie i zrezygnowane. Trudno o autora, któryby z równym Bangowi oddaniem malował właśnie ciche, jesienne piękno rezygnacji, pogodzenia się z ciężkim powszednim mozołem, na co los skazuje tyle dusz kobiecych. Pod tym względem prawdziwym arcydziełem, książką pełną melancholijnego uroku jest jego „Biały Dwór" (tłumaczenie na polski — Jadwigi Przybyszewskiej). W postaci „Matki" stworzył Bang przedziwny typ kobiety pełnej życia, dobroci i dziecięcej figlarności, a która przecie w sercu nosi niegojącą się ranę jakiejś wielkiej, nigdy niezapomnianej nieszczęśliwej miłości. Jej przebieganie od „piankowych ciastek", „aby się nie przypaliły" do zbytków młodzieńczych lub zwierzeń przed młodą przyjaciółką, że w jej duszy „wśród licznych sprzętów domowych niema żadnego pragnienia, żadnej nadziei, nawet cienia jakiegoś złudzenia" oddał Bang z ogromnym artyzmem i miłością synowską. Nigdy zasłona, okrywająca czyjeś wielkie nieszczęście nie była podnoszona z większą delikatnością...

W ostatniej swej powieści „Bez ojczyzny"

przedstawia Bang znów człowieka, któremu się życie nie udaje. Jest to hrabia Jan Ujchagy, z ojca Węgier, z matki — Duńczyk. Pewnego rodzaju tragedją w życiu tego człowieka jest to, że niema on ojczyzny, że od pierwszych lat dzieciństwa podlega najrozmaitszym wpływom kosmopolityzującym i jego żądne miłości serce nie może się do żadnego kraju przywiązać, uznać jego historję za swoją, za swoje również jego cierpienia i wielkość. Po wielu podróżach hr. Jan, już jako dorosły człowiek i słynny muzyk, przyjeżdża do Danji, kraju rodzinnego swej matki, szukając swej zgubionej w wirach życia ojczyzny. Od tej chwili powieść staje się szeregiem oskarżeń przeciwko społeczeństwu duńskiemu — czymś w rodzaju naszej „Oziminy" — tylko bez Berentowskiego uniesienia.

Na pozór Danja wydaje się rajem. Według słów pieśni duńskiej — błękitnieje tam morze, w sadach dojrzewają jabłka, ludzie żyją z uśmiechem na ustach — nie trzeba szukać szczęścia w niebiosach... A w istocie? Ten kraj przyparty do morza i zagrożony zalewem niemieckim jest — jak się przekonywa hr. Jan — krajem, gdzie jest „zbyt wielu ludzi niezdecydowanych" i gdzie każdy „w głębi duszy jest przedewszystkim estetą", gdzie ludzie zdolni są „rozpatrywać rzecz każdą ze wszystkich stron i ostatecznie usprawiedliwiać wszystkich i nikogo", gdzie poprostu brak ludziom siły „aby pomyśleć o tym, co się stanie za lat pięćdziesiąt", gdzie „wielu ludzi najlepszych milczy, a ludzie o jeden gatunek gorsi — parskają śmiechem", gdzie wreszcie wszystkim się zdaje, że „Pan Bóg strzegł zawsze naszej małej Danji".

W rozmowie z Duńczykami poznaje hr. Jan coraz lepiej poglądy ziomków swej matki. Mówią mu: „Jeżeli Duńczyk i Niemiec sprzedają po tej samej cenie.. trzeba być patrjotą". Kiedy zaszła rozmowa o tym, czy kraj ma być ufortyfikowany (co pociągnie za sobą nowe podatki!) przed najazdem Niemców, jeden z obywateli wygłasza mowę, w której dowodzi:

— „*Chcemy* zostać krajem otwartym.. A skoro kraj będzie otwarty, któż po niego sięgnie? A jeśli sięgnie, zwrócimy się z wezwaniem i cała Europa stanie w naszej obronie... Jesteśmy małym narodem i możemy dowieść swego prawa do istnienia innymi sposobami... Gdzież jest więcej ludzi utalentowanych?"

Inny przemysłowiec posuwa swą szczerość dalej:

„Gdybym miał syna — życzyłbym sobie — choć takich rzeczy nie mówi się głośno... życzyłbym sobie z całego serca, aby pochłonęły nas Niemcy. Byłoby to szczęście dla niego być obywatelem ogromnego kraju, nieprawdaż? Ogromny kraj daje przecie każdemu ogromne szanse do wybicia się.."

Na zakończenie tych cytat — jeszcze jedna cytata z książki Hermana Banga. Dotychczasowe stwierdziły, że, jeżeli Danja jest od Polski szczęśliwsza, to w pewnych sferach obu krajów panuje jednakowa ideologja. Gdy u nas zjawi się kilka jednostek z pod obcego zaboru — naprzykład pruskiego — wita się je lub żegna na zebraniach towarzyskich wzruszającymi przemowami. To samo bywa w Danji. Oto próbka takiej przemowy do niczego nie obowiązującej, jaką jeden z obywateli duńskich żegna swych współziomków z dzielnicy, zagrabionej przez Prusy:

„Tak, moi drodzy... wasze prawo daje wam męstwo i siłę do znoszenia prześladowań za starą ojczyznę — pomimo gwałtów i praw niemieckich, które zakazują wam przejazdu granicy. Zachowujecie język duński w ustach dzieci waszych w całej jego czystości. I dobrze robicie. Prawo koniec końców zwycięży. Najwyższy z tym tylko trzyma, po czyjej stronie jest prawo. Bóg nigdy nie zapomniał o swojej Danji, a my nie zapomnimy o Nim".

Leon Choromański.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

Koło polskie i prasa Odpierając napaści na część prasy postępowej warszawskiej, pomieszczone w krakowskim *Czasie* przez jednego z wybitnych członków Koła, pisze p. F. B. w *Kurjerze Porannym:*

> Kiedy się ujawniła ostatecznie cała groza naszego położenia politycznego w Rosji konstytucyjnej, kiedy przyszła na stół sprawa Chełmska, w obozie postępowym rozległo się hasło: wstrzymać się od krytyki, aby nie utrudniać ciężkiego położenia Koła polskiego w Dumie. Hasła temu nie sprzeniewierzono się dotychczas, mając na uwadze konieczną samoobronę przed rowścieczonym nacjonalizmem rosyjskim, chociaż niejedno w sposobie prowadzenia tej walki domagało i domaga się krytyki.

Ostatni dzień dyskusji ogólnej w sprawie chełmskiej postawił znów przed oczy opinji polskiej błędy taktyczne Koła w całej ich jaskrawości. Mimo pobłażania dla naszych posłów, znajdujących się w niesłychanie trudnych nad Newą warunkach, czujemy się w obowiązku zaznaczyć, że gdyby postanowili oni niezłomnie, za wszelką cenę, sprawę chełmską w Dumie zaprzepaścić, toby nie mogli obrać innego sposobu działania, jak ten, co polegał na metodycznym jątrzeniu lewicy i nieodwzajemnionych zalotach w kierunku prawego centrum. D. 2 lutego projekt chełmski w ogólnym czytaniu przeszedł 154 głosami przeciw 107, co zdaje się decydować o wyniku ostatecznym tej sprawy.

A mogło być inaczej. Lecz kierujący Kołem obóz endecji czuwał gorliwie i skutecznie:

> Za ten stosunek głosów — pisze teraz *Głos Warszawski* — odpowiedzialna jest przedewszystkiem lewica, której udział w posiedzeniu nagół był dość słaby.

Szczególna uraza! Dem. Narodowa zrobiła chyba wszystko, co mogła, by osłabić udział lewicy w dniu decydującym.

Wszakże, z właściwą sobie dezinwolturą, przyznaje *Głos Warszawski*, iż „absenteizm lewicy miał przyczyny głębsze:

> Pp. socjal-demokraci zwłaszcza uważali, iż dyskusja chełmska jest najlepszą sposobnością do załatwienia rachunków z Kołem polskim, i napaściami swymi niemało przyczynili się do zdemoralizowania lewicy".

Skoro wciąż, bez najmniejszej potrzeby, kierownicy Koła piętrzyli „porachunki" swoje na lewicy korzystając z każdej okazji, by radykalizm i postęp rosyjski w oczach opinji polskiej zohydzać — należałoby w końcu zaprzestać zwalania winy za własne nietakty na ludzi, którzy wszak nie są aniołami i w imię idealnych pryncypiów

nie mogą bratniej dłoni wyciągać w stronę, zkąd okazano im tyle jawnego lekceważenia i wyraźnej niechęci.

W lipcu r. 1909 pisano w *Przeglądzie Narodowym* z naciskiem, że „bardzo dobrze się stało, że Polacy wykonali zwrot w kierunku październikowców, nie zważając na niezadowolenie kadetów“, a ileż od tego czasu wynalazł obóz endecki powodów i pretekstów, żeby niechęć swą do lewicy podkreślić i ujawnić?.. Ostatnio wszak deklaracja Jarońskiego, którą *Kurjer Poranny* zwie dobitnie „niebotycznym głupstwem“, budząc niekłamany na razie zapał żydożerczej prawicy, nie przejednała żadnego z twórców nowej gubernji, a w dniu ostatnim dyskusji 2 lutego, gdy ważyły się szale, być może, rozstrzygnęła sprawę na naszą niekorzyść...

A najgorsze w tym wszystkim, że za błędy i nietakty, którymi kierownicy Koła usiali hojnie drogę swojej karjery, odpowiada i to bardzo boleśnie — naród polski.

*** *O pracę organiczną.* „Ze składu zniszczonych i porzuconych rupieci — pisze *Goniec* — powraca znowu na widownię hasło pracy organicznej w formie bodaj jeszcze płytszej i banalniejszej, niż ta, w jakiej się rozlegało przed czterdziestu laty.

Oczywiście, rozwój kapitalistyczny Królestwa wyrósł z czynników o wiele potężniejszych, niż program pracy organicznej. Na gruncie odpowiedniej konjunktury zmiany postępowały niemal żywiołowo, a twórcy programu bardzo niedokładnie zdawali sobie sprawę z natury zachodzących przed ich oczyma procesów. Uznali, że dzieje się dobrze i kazali społeczeństwu wierzyć, że ta droga prowadzi do odrodzenia i do pomyślnej przyszłości. Jak wiadomo, propagatorowie pracy organicznej nie ukrywali się z lekceważeniem form politycznych i „własnych instytucji“. Jedni z nich byli zdania, że na gruncie rozwoju ekonomicznego wyrosną z czasem „same przez się“ owe instytucje, inni zaś mniej lub więcej otwarcie głosili, że te ostatnie są drobiazgiem bez znaczenia i znikają niemal wobec spraw ekonomicznych i kulturalnych.

Wyniki pracy organicznej były, zdaniem *Gońca*, fatalne. „Nowa era obiecywała, że „kraj oświeci od piwnic aż do poddaszy“, a doczekała się zamiast tego całego szeregu band nożowców i całego szeregu innych „organicznych“ objawów.“

Wywody *Gońca* składają się ze słusznych założeń i błędnych wniosków.

Istotnie, rozwój ekonomiczny Królestwa miał swe głębokie przyczyny, niezależne od takich lub innych poglądów koryfeuszów pracy organicznej. „Podniesienie ceł oraz polityka rządu, zwracająca się od r. 1861 w kierunku kapitalizmu i uprzemysłowienia państwa, były głównymi czynnikami tego rozwoju.

Jego pionierami były żywioły, które nie nie wiedziały i wiedzieć nie chciały o żadnych programach i dążeniach charakteru ogólnego, które kierowały się poprostu widokami obfitych zysków.

„Koryfeusze pracy organicznej“, wzywając naród do czynnego udziału w tym procesie, mieli w tym cel dwojaki: wyrwać ogół z odrętwienia klęski 63-go roku i o ile można — ukrajowić, uobywatelnić ów pęd przemysłowy, który wówczas właśnie ściągał do Królestwa znaczne kapitały i przedsiębiorstwa obce.

Mieć za złe „organicznikom“ te ich motywy jest to posuwać zadaleko ducha bezwzględnej abnegacji. Toć zresztą mimo wezwań i nawoływań, uprzemysłowienie Królestwa w znikomej tylko części było dziełem rąk polskich; lwią część zagarnęli dla siebie przybysze, którzy często prowadzą gospodarkę łupieżczą, niby „eksploratorzy“ w Afryce. Stąd wszystkie skutki ujemne, gdy kraj został „rynsztokiem, którym złoto przewala się“ i płynie do Niemiec, Belgji, Francji, jak powiada Żeromski w *Ludziach Bezdomnych*.

Najważniejszym brakiem pracy organicznej było nie to, że „nie była ona wcale organiczną“ według *Gońca*, lecz to że z dodatnich ówczesnych konjunktur gospodarczych w Królestwie skorzystali skwapliwie i bezwzględnie ludzie obcy, podczas gdy swoi dotąd zastanawiają się i ważą mozolnie, po 40 latach, czy nie lepiej byłoby wstrzymać się od wszelkiej z nimi konkurencji.

„Błędem“ zwie *Goniec* hasło ówczesne pracy organicznej, a dzisiejsze jej wskazania wydają mu się „karykaturą błędu.“ Tymczasem, jasną jest rzeczą, że gdy przed laty 40 szło pozytywistom polskim jedynie o *wykorzystanie* dla kraju dodatnich konjunktur gospodarczych, to dziś rozchodzi się o rzeczy stokroć ważniejsze: o *niezatracenie* reszty podstaw ekonomiczno-kulturalnych, na których żywiołowo sadowią się żywioły obce, nadając Królestwu coraz wybitniejsze kosmopolityczne piętno.

Nigdy jeszcze hasło pracy organicznej nie było bardziej znaczące, potrzebne i aktualne, jak właśnie teraz, gdy hordy wschodnich i zachodnich przybyszów opanowują źródła bogactwa krajowego, na co społeczeństwo patrzy z założonymi dłońmi.

Zupełnie mylnie przypisuje *Goniec* organicznikom „lekceważenie lub pomijanie warunków politycznych“, gdy „do pracy organicznej potrzeba pewnego minimum organicznych warunków.“

Walka o zdobycie tego minimum organicznych warunków nie tylko nie przeczy idei pracy organicznej, ale ją właśnie uzupełnia. Tylko skrajna jakaś jednostronność może dostrzec w tych rzeczach przeciwieństwo. Jednostronność tego rodzaju cechuje każdą z natury rzeczy bezwzględną i ciasną *agitację*, w odróżnieniu od właściwej *polityki*, która nigdy nie może być polem wyłącznych i jednostronnych metod. Czas już najwyższy byśmy w traktowaniu najważniejszych kwestji naszego bytu wyzbyli się metod agitacyjnych.

Z prasy zagranicznej.

*** „Wiekiem żelaznym“ zwie naszą epokę Paul Doumer, na łamach *Matin'a* roztaczając imponujący obraz wszechświatowej produkcji żelaza i metalurgji współczesnej.

Materjalny postęp ludzkości — twierdzi b. prezes francuskiej Izby posłów — w prostym pozostaje stosunku do wzrostu produkcji żelaza i stali.

Gdy przed 500 laty największe kuźnice wyrabiały 200 do 300 klg. metalu w ciągu doby, w XVIII stuleciu zwiększono wydajność ich do 3000 i 4000 klg., w początkach XIX-go wieku do 10,000, a wreszcie wielkie piece najnowszej konstrukcji produkują 300 tysięcy klg. w Europie, zaś 400, 500 a nawet 900 tys. klg. w Ameryce.

Nigdy wyobraźnia ludzi starożytnych, stwarzając wizję bożka Wulkana na tle potwornych ogniek, wśród piekielnego żaru paleniska, nie dorównała w najmniejszej mierze potędze i straszliwemu pięknu stalowni współczesnych. Wspanialej,

niż gdziekolwiekbądź, jawi się tam człowiek w apogeum swej siły twórczej, w jarzmieniu zwycięskim przyrody.

Ciekawe i znaczące są postępy produkcji poszczególnych narodów. Przed pół wiekiem W. Brytanja wyrabiała 3 miljony 500 tys. tonn żelaza rocznie. W 10 lat później — 6,050,000 tonn. W r. 1890-ym poczęły je wyprzedzać St. Zjednoczone, których produkcja wynosiła naówczas 9 miljonów.

Odtąd rozmach produkcji St. Zjednoczonych trwa w tempie iście zawrotnym; Niemcy zajęły drugie miejsce i postępują krokami olbrzyma. W r. 1910 produkcja w tonnach wynosiła:

St. Zjednoczone	27,700,000
Niemcy	14,800,000
W. Brytanja	10,200,000
Francja	4,000,000
Rosja	3,000,000
Austro-Węgry	2,100,000
Belgja	1,800,000

Słusznie powiada Paul Doumer: nasz wiek jest wiekiem żelaznym.

Z prasy rosyjskiej.

* * *Uczciwe głosy.* W chórze zwycięzkich peanów, którymi prasa rosyjska powitała wyniki obrad w Dumie d. 2 lutego, charakterystycznym wielce jest fakt, że jedynie uczciwe, rozumne i przyjazne dla Polaków głosy padły z tych właśnie kół, których organem głównym jest *Riecz*, gdzie zamieszczono taki komentarz uchwały chełm[illegible]

Nie możemy tego ukrywać przed sobą, że nowe przeszkody, nieistniejące przedtym, lecz stworzone przez reakcję rosyjską, usunąć nie dadzą się wcale tak łatwo, jak było je łatwo stworzyć. Krzywdy narodowe niełatwo są zapominane, a obecna krzywda — to jedna z najcięższych. Nie można także powiedzieć — jak niedawno mówiliśmy o Finlandji — że nowa ustawa może zostać na powierzchni życia społecznego i będzie ją równie łatwo zdjąć z tej powierzchni, jak łatwo było położyć — jednym pociągnięciem pióra. Że naprawiać robiony obecnie błąd będzie daleko trudniej, widać to już z samej istoty sprawy. Ten, kto będzie poprawiał potym błędy i zbrodnie wojującego nacjonalizmu, będzie musiał nie cofać, lecz zmienić, prowadzić dalej i doprowadzić do końca, zrobić dwustronną — sprawę jednostronną i w niewłaściwe chwili poczętą. Ale czy łatwo będzie wtedy uzyskać zobopólną zgodę na takie postawienie kwestji i czy szansa, przepuszczona w 1905 r., nie została stracona [illegible]"

Życie może tylko dać odpowiedź na to pytanie, obawiamy się jednak mocno, że na tej odpowiedzi, w jakichkolwiek warunkach zostanie ona dana, będzie ciągła klątwa, której nacjonaliści trzeciej Dumy poddali stosunki rosyjsko-polskie.

Nadto, „grupa pracy" złożyła taką deklarację: 1) powoływanie się na to, że ziemia Chełmska w zaraniu historji była rosyjską nie ma obecnie żadnego znaczenia; 2) ziemia Chełmska jest obecnie bardziej katolicka, niż prawosławna 3) ludność małoruska na wyodrębnieniu nic a nic nie skorzysta; 4) administracja rosyjska i duchowieństwo rosyjskie w Królestwie Polskim zawsze umiały w sposób najbardziej twardy i okrutny prześladować katolików i gwalcić ich wiarę i sumienie; 6) stan ekonomiczny włościan chełmskich nic nie zyska na proponowanym wyodrębnieniu; 6) cały projekt, mający niby bronić lud chełmski od Polaków, jest aktem bezgranicznej obłudy, ludowi owemu nic Polacy bowiem dają się we znaki, ale władze miejscowe i brak ziemi, 7) istotnym wreszcie celem projektu jest chęć ciśnięcia w lud ów zarzewia waśni, aby go oderwać od jego potrzeb istotnych...

KRONIKA.

WALKA O ZIEMIĘ.. W o[illegible] [illegible]ach (od początku grudnia r. ub.) pi[illegible] [illegible]e donoszą co następuje o ruchu [illegible]

„Teren odwiecznej walki, obecnie bezkrwawej, o posiadanie ziemicę ojczystą rozszerzył się i już obejmuje Poznańskie, Prusy Zach. i Wschodnie, jak również Śląsk cały i wschodni skrawek nadmorski Pomorza. Niestety, na tym gruncie wielkopolskim wyjałowionym całkiem z polskiego ducha buntu i walki bezwzględnej z wrogiem ojcowizny, coraz to liczniej plenią się sprzedawczyki, którzy za nędzne srebrniki komisji oddają wielkie płaty ziemicy polskiej w zachłanną paszczę Molocha najeźdźczego...

— „Srom im i hańba!" — powinien być odzewem całej uświadomionej części społeczeństwa polskiego.

W grudniu w Poznańskiem w pow. Wyrzyskim (nader zagrożonym przez niemczyznę, o liczącym jeno 22 większe majątki polskie) dzierżawca „probostwa" Ośmiński, w Wysokiej, zaprzepaścił Niemcowi 75-morgowe gospodarstwo.

W pow. Chodzieskim spotkała nas również dojmująca krzywda; oto straciliśmy w chwili obecnej możność nabycia sporego szmatu ziemi, ponieważ majątek rycerski Mirosław, obszaru przeszło 2,000 morgów, przeszedł na własność komisji kolonizacyjnej.

W tejże zagrożonej rejencji bydgorskiej, w pow. Czarnkowskim dr. Amsberg nabył od sprzedawczyka Ant. Paszkiewicza 300 morgowy folwark Maranówko.

W tymże powiecie przeszło w ręce niemieckie jeszcze jedno drobne gospodarstwo polskie.

Nakoniec możemy donieść, że w pow. Bydgoskim kupił Polak p. Szumiński od Niemca folwark — Wudzyń — obejmujący 275 morgi; zaś w pow. Witkowskim niedaleko historycznego Czerniejewa kupił p. Małkowski, rządca gospodarczy, od Niemca 40 morgową zagrodę w Mierucinie za 15,000 mk.

Ogółem więc w ostatnich tygodniach, pełnych jeno słusznej gorączki wyborczej, straciliśmy aż z górą 375 morgów ziemi, zaś odzyskaliśmy jeno 313 morgów ziemi [illegible]

W Prusiech Zachodnich spotkał polski stan posiadania również dotkliwy cios; bo oto w pow. Człuchowskim sprzedawczyk Piwonka oddał w ręce Niemcowi dobra swoje — Konarzyny — za 500,000 marek. Jest to ostatni majątek rycerski, który w tamtejszej okolicy pozostał w rękach polskich. Konarzyny tworzyły ongiś część rozległego klucza Konarzyńskiego, który przez długi czas przynależał do rodu Tucholków, a potym Skórzewskich. Co straszniejsze, to sam fakt, iż nieczny kupczyciel dobra narodowego uchodził za... dobrego Polaka i brał też czynny udział w agitacji wyborczej. Wprawdzie pow. Człuchowski odczuje tę stratę, lecz może liczyć na rozwijający się tam coraz bardziej żywioł drobnych posiadaczy wiejskich — Polaków, bo jak widzimy, więksi ziemianie kupczą ziemią ojczystą ze zgoła czystym sumieniem... Należy dorzucić tu również, że na Kaszubach bank pol-

ski ze Zblewa wykupił w Strychowie posiadłość niemiecką, nadającą się wielce do rozkupna.

Z naszych ewangielickich dzierżaw lepsze płyną wieści. Walka o podstawy polskości, t. j. o rolę, szparko posuwa się naprzód. Oto od początku jesieni r. 1911-go przeszły w Prusiech Wschodnich z rąk niemieckich w polskie następujące nabytki ziemskie: pow. gierdawski 7,000 mg. (niestety, dla sprawy narodowej nie mających zgoła wartości, jako leżące poza granicami Polski etnograficznej), dalej w pow. olsztyńskim (już polskim — należącym do Warmji — 2,350 mg., w pow. ostrodzkim 1,409 mg., w pow szczycieńskim 1,270 mg., niborskim 240, leckim 305. Jednak w tymże pow. niborskim Niemcy wszczęli silną czynność wykupu ziemi z rąk polskich, tak, iż w ciągu miesiąca września r. ub. wyłowili z rąk naszych z górą 1,300 morgów ziemi.

Ogółem w tym powiecie od jesieni r. 1908 aż po jesień r. 1910-go wykupiono z rąk niemieckich 1,400 morgów; w tymże czasie w ostrodzkim nabyli Polacy 8,800 morgów. Ostatnio zaś p. Wincenty Zentekler, działacz z Poznańskiego, wykupił z rąk Niemca majętność Karolewo, obejmujący około 1,000 mg. obszaru i leżący w pow. niborskim, tak, iż obecnie posiada on 16,640 mg. ziemi, będącej w rękach dużych właścicieli Polaków.

DOBRA WIADOMOŚĆ. Pp. Jan i Krystyna z Chełmickich Iwańscy złożyli na ręce współpracowniczki *Zarania* p. Ireny Kosmowskiej w dniu swego ślubu sześć tysięcy rubli na założenie szkoły gospodarczej dla córek włościańskich, na wzór Kruszynka. Szkoła ma powstać w ziemi Lubelskiej, prawdopodobnie w majątku p. Iwańskiego — Gardzienicach, pow. Krasnostawskiego.

WYBORY W NIEMCZECH. Tablica poniższa przedstawia wyniki ostateczne wyborów, a więc skład nowego Reichstagu w zestawieniu z poprzednim i z wyszczególnieniem zysków i strat każdego stronnictwa.

	Poprzednio	Obecnie	
Centrum	103	91	— 12
Zachowawcy	58	46	— 12
Wolnozachowaw.	45	28	— 17
Socjaliści	53	110	+ 57
Nar. liberalni	51	47	— 4
Wolnomyślni	49	41	— 8
Polacy	[illegible]	[illegible]	[illegible]
Niez[illegible]	17	16	[illegible]

PRAWO AUTORSKIE. Tow. Prawnicze zastanawiało się nad stosowaniem nowego prawa autorskiego do naszego kraju z prawodawstwem cywilnym, od którego różni się ono w wielu względach.

W każdym bądź razie, pomimo swych usterek, nowela ta jest już znacznym zabezpieczeniem własności literackiej, naszej zwłaszcza, względem wyzysku wydawców rosyjskich. Stosowanie jednak w praktyce tych przepisów zależeć będzie głównie od zapatrywania się władz sądowych, które jako obce i nieznające stosunków naszych, wątpliwą obiecują nam z nich korzyść.

SPRAWA „DASZNAKCUTIUNU". W Petersburgu dnia 30 stycznia rozpoczęło wielki proces polityczny ormiańskiej organizacji rewolucyjnej „Dasznakcutiun". Oskarżonych pociągnięto do sprawy 159-ciu, aresztowanych w Tyflisie, Władykaukazie, Rostowie nad Donem i innych miastach kaukaskich i zakaukaskich. Niektórzy z podsądnych oskarżeni są o spełnianie aktów terorystycznych przeciwko przedstawicielom władzy i osobom prywatnym, uznanym za szkodliwe dla partji. W tym celu były organizowane bojówki. Na świadków powołano przeszło 600 osób.

GŁOSY LITEWSKIE W PRUSIECH WSCHODNICH. Obaj kandydaci litewscy na posłów z Prus Wschodnich do parlamentu Rzeszy niemieckiej zostali pobici przez kandydatów Niemców. Litwin Stekys w okręgu Kłajpeda-Szyłokarczma otrzymał 5,809 głosów, gdy niemiec Schwsbach — 8,750, zaś Litwin Reidys z okręgu Tylża-Pakalnie — z 419 głosami został pobity przez liberała Roppa, na którego padło 10,198 głosów.

SZKOLNICTWO LUDOWE W POZNANIU. Pomiędzy 1 kwietnia r. 1910 i 31 marca 1911-go Poznań liczył 16 szkół ludowych. Wszystkie są międzywyznaniowe. Do szkół ludowych w mieście Poznaniu uczęszczało w roku sprawozdawczym 16,844 dzieci W roku poprzednim tylko 16,361. Przyrost wynosił więc 483. Dzieci katolickich było 13,767, ewangelickich — 3,100, a żydowskich 77. Nad liczbami tymi zastanowić się trzeba trochę. Dzieci katolickie — to prawie wszystko dzieci [illegible] niu przedstawia mniej więcej 60 proc., kontyngens dzieci polskich, do najniższych klas uczęszczających, wynosi mniej więcej 4 razy tyle co ewangelickich i żydowskich! Liczby te suche ale bardzo wymowne. W r. 1909 było [illegible] W roku następnym 13,767. Przyrost dzieci katolickich wynosił więc 552.

Zapewne zrozumieć można przyczyny tego niepocieszającego objawu. Ludność niemiecka, w znacznej części urzędnicza, jest zaradniejsza, nadto dopomagają Niemcom i żydom różne fundusze gadzinowe i niegadzinowe do korzystania ze szkół wyższych. Dla Polaków są one zamknięte, sobie pozostawieni, z takich funduszów nie korzystają.

Statystyka mówi, iż Polacy nie mają zapomóg, a więc szkoła wyższa i co za tym idzie wszechnica jest dla nich dość niedostępna.

Nam się zdaje, że kapitałów Poznańskie ma pod dostatkiem jak żadna inna dzielnica polska, jeno nie chce czy nie potrafi zużytkować ich na polskie cele oświatowo kulturalne.

Notanik wydawniczy.

Wyszedł III (trzeci) zeszyt **STERU** i zawiera: Siebie poznajmy, Teresy Lubińskiej. — Reformy praw kobiet, P. K. R. Przeobrażenie wartości kobiety, Leonji Bernardini. — Sjoestedt, tłum. Teresy Lubińskiej. — W obronie żywych, Dr J. S. — Odpowiedź na ankietę Gołotczyźnianki, M. S. — Przemówienie przewodniczącej Oddziału R. K. P., p. Rom. Baudouin de Courtenay.—Akcja kobiet wobec reformy statutu m Krakowa. — Odpowiedź na odpowiedź. — U steru. — Sprawa kobieca w pismach prowincjonalnych. — Na straży. — Zwycięstwo solidarnej akcji kobiecej. — Echa. — Książki nadesłane do Redakcji. — Informacje. — Dary. — Odpowiedzi Redakcji. — Od Administracji. — Ogłoszenia.

Odpowiedzi od Redakcji.

P. A. C. Utwory anonimowe rzucamy do kosza. Przyjm zwracamy uwagę Sz. P., że człowiek, pretendujący do roli recenzenta powinien wiedzieć, że „Z fali na falę" jest tomem nowel Sieroszewskiego, nie zaś powieścią Tetmajera.

Prenumeratorowi z nad Warty. Wykaz studjów historycznych, odtwarzających poszczególne fazy dziejów kościoła katolickiego w Polsce, znajdzie Pan w drukującym się obecnie artykule I. Moszczeńskiej: „Reformacja i kontrreformacja w Polsce". Prócz tego polecamy, jako przyczynek do ery wcześniejszej „Studja historyczne jedenastego stulecia" prof. Wojciechowskiego Całości dziejów duchowieństwa w historji polskiej, przestawionych bezstronnie, dotąd nie posiadamy. Jest to wdzięczna praca, czekająca dopiero na swego historyka Co do drugiego zagadnienia, to polecamy: Drapera „Dzieje stosunku wiary do rozumu" oraz Hoensboecha: „Papiestwo".

Prenumerata „Prawdy"

wraz z bezpłatnym dodatk:

W Warszawie: miesięcz. kop. 70, kwartal. rb. 2, rocz. rb. 8, z odnosz. do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne [illegible]

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Kierownik literacki: **Wincenty Rzymowski.** Redaktor: **Aleksander John.**
Sekretarz Redakcji: **Leon Gorecki.** Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Druk. L. Bogusławskiego, Warszawa, Szpitalna [illegible] Krzyska 11.